Nr 52. Kraków, Niedziela dnia 3 Marca 1895. Rok III

GŁOS NARODU

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem dni poświątecznych o godzinie 8 rano.

Adres Redakcji: **Kraków, ulica św. Anny l. 3.**
REDAKTOR NACZELNY: **JÓZEF ROGOSZ.**
Adres Administracji: **Kraków, ul. Jagiellońska l. 7.**

Szanownych Abonentów miesięcznych upraszamy o rychłe odnowienie prenumeraty, która wynosi do końca marca w mieście ***1 złr. 35 ct.*** *a na prowincji* ***1 złr. 70 ct.*** *Wszyscy nowo przystępujący abonenci otrzymają* ***bezpłatnie*** *początek drukującej się obecnie powieści* ***„Jan Wilk"***, *której wyszło już blisko* ***półtora tomu.***

Na Wawel!

Kiedy dwa tygodnie temu, w dniu ingresu ks. Jana Puzyny na książęcą stolicę Biskupów krakowskich, wynurzyliśmy na tem tu miejscu życzenie, by nowy dostojnik Kościoła, raczył zwrócić swoje oko na podupadającą Katedrę i na Wawel królewski — nie przeczuwaliśmy jeszcze, że za kilka godzin Mąż ten z wysokości swego tronu podniesie głos w tej sprawie i uroczyście zapowie licznym rzeszom, iż podźwignięcie z gruzów przybytku naszej wielkości i sławy, poczytuje za swój obowiązek.

Wypowiedział jednak to słowa, które usłyszeć wszyscy gorąco pragnęli — i dziś otucha w nas wstąpiła, bo gdy Wawel takiego zjednał sobie orędownika i obrońcę, przeto to, co jeszcze wczoraj było naszem marzeniem, zstępuje od razu w dziedzinę rzeczywistości.

Bo i któż z większą wiarą w powodzenie może podjąć się tego dzieła, jeźli nie zwierzchnik dyecezji, której wszyscy kapłani są jego pomocnikami, a w której wszystkie owieczki garną się z zaufaniem do jego tronu? Któż śmielej może liczyć na współudział w tem dziele Polski całej, jeżeli nie ten Arcypasterz, stojący na straży grobu św. Stanisława, a więc w Polsce najwyżej i widny tam nawet, w tych oddalonych ziemiach Rzeczypospolitej, gdzie pod uciskiem prawosławia, widzimy zmierzch naszego Kościoła? Któż z większą pewnością siebie może powiedzieć: „Podejmuję się wielkiego dzieła i pewnie je przeprowadzę!" niż Mąż światły, pełen sił żywotnych i energji niespożytej, który odziedziciwszy tron biskupi po sędziwym Kardynale, może łatwo to urzeczywistnić, o co jego poprzednik, dla sędziwego wieku, nie mógł się pokusić. — A że nadzieje nasze nie są płonne okazało się to już w pierwszych dniach po ingresie Księcia Biskupa, bo ledwie wspomniał o katedrze na Wawelu i sam, dobry przykład dając, złożył na ten cel 2000 guldenów, posypały się zaraz dalsze datki, które stokrotnie wzrosną, gdy Arcypasterz wszystkich do współudziału zawezwie.

Teraz atoli nasuwają się nam poważne pytania, które rozstrząsnąć, choćby pokrótce, poczytujemy za nasz obowiązek.

Wawel, stara królów naszych siedziba, jest nierozdzielną dla siebie całością, jakby ideą, ale z dwóch części złożoną: z Katedry i z Zamku. Pierwsza znajduje się w wyłącznem naszem posiadaniu, druga jest w rękach rządu. Podźwignąć obie i przywrócić do tego stanu, w jakim je oglądali nasi praojcowie w najpiękniejszej dobie niepodległej Polski, jest naszym obowiązkiem; gdy jednak wszystkiego naraz zdziałać niepodobna, zwłaszcza, że oddanie zamku rząd czyni zawisłem od budowy koszar, prócz tego na jego odnowienie potrzeba miljonów — przeto nie tylko rozum sam, ale także dobrze zrozumiany patrjotyzm nakazuje zacząć najpierw od tego, co już w dzisiejszych warunkach da się uskutecznić, równocześnie zaś należy usilnie o to się starać, by i dalsza część zadania mogła być szczęśliwie przeprowadzoną.

Najpierw tedy odnawiajmy katedrę, przeznaczając na ten cel wszystkie fundusze, które gdziekolwiek dotąd zebrano pod hasłem: „Na Wawel" gdy zaś tego dzieła dokonamy, zwrócim nasze starania ku samemu zamkowi, który musi odrodzić się z popiołów.

Nie rozstrzelać się, aleześrodkować wszystkie usiłowania, nie od całości zaczynać, lecz od części, oto dewiza, której tak rozum jak patrjotyzm nakazuje nam trzymać się w tem wielkiem przedsięwzięciu.

A kiedy zapadnie już uchwała, że do pracy powinno się przystąpić, zaprośmy do Krakowa trzech najznakomitszych architektów europejskich, by ci orzekli w jakiej formie ma być restauracja katedry przedsięwziętą, gdyż w ciągu wieku XVII jej wnętrze zmianie uległo, więc też dobrze nad tem zastanowić się należy, ażali ma ona odrodzić się w tych kształtach, w jakich oglądali ją Jagielloni, czy też w późniejszych.

Niech jednak żaden z naszych architektów nie bierze nam tego za złe, iż w sprawie tak ważnej radzibyśmy zasięgnąć zdania powag europejskich. Wiemy, że między naszymi architektami są zdolności pierwszorzędne, i dość spojrzeć na Sukiennice, by o tem nie wątpić, wszelako w sprawie tak doniosłej, jak odnowienie katedry, trzeba unikać stronniczości, a przedewszystkiem wpływów pobocznych i protekcji, tej nieszczęsnej choroby naszej, której zawdzięczamy dziś na Rynku krakowskim posąg niby... Adama Mickiewicza.

A gdy znakomitości już orzekną, jak katedra powinna być odrestaurowana, oby wtedy komitet ani godziny więcej nie zwlekał, lecz niechby bezzwłocznie do pracy przystąpił, bo zapalna nasza natura, chętnie wszystko czyni gdy widzi działanie, ale równie prędko ręce opuszcza, gdy jej w bezczynności każą czekać.

Pieniądze, które dotąd na Wawel złożono, wraz z temi, które zbiorą się w ciągu kilku tygodni po pierwszem formalnem odezwaniu się Księcia-Biskupa, na co prawdopodobnie już nie długo czekać będziemy, utworzą taką kwotę, że wystarczy ona najmniej na jeden rok, może nawet na dłużej, w tym zaś czasie, gdy cały naród polski zobaczy, że wielka nasza świątynia z gruzów się podnosi, ofiarność przybierze takie rozmiary, jakich dziś z pewnością nikt ani przewiduje.

Głos o Wawelu przebiegnie wszystkie ziemie polskie, bogaci nie poskąpią tysięcy, mniej zamożni dadzą dziesiątki, biedacy rzucą grosz wdowi i za dni naszych dokonamy dzieła, które będzie chlubą przyszłych pokoleń.

Na Wawel! Na Wawel!

Izrael wojujący.

Lwów 1 marca.

(List oryginalny Głosu Narodu).

(C.) Największy przyjaciel żydów nie mógł odnieść zbyt dodatniego wrażenia z przebiegu obrad pierwszego zebrania „Towarzystwa politycznego żydów galicyjskich i bukowińskich" i jeżeli przyszły parlament jerozolimski będzie trzymał się tej samej metody, co dzisiejsi organizatorowie ruchu żydowskiego, to każda jego sesja potrwa przynajmniej okrągłych dwanaście miesięcy w roku. Dość powiedzieć, że sam wybór prezesa nowego towarzystwa zajął równo cztery i pół godziny, poczem natychmiast nowo obrany prezes zrezygnował, a w ślad za nim poszli także wszyscy inni urzędnicy wydziału. Obrady zaczęły się o godzinie 7 wieczorem w lokalu żydowskiej rady wyznaniowej. Kiedy o naznaczonej godzinie wszedłem na salę, zastałem zupełne jeszcze pustki. Było to pierwsze rozczarowanie. Gdzie są owe liczne hałaśliwe kadry zwolenników nowego ruchu żydowskiego? Na pytanie to napróżno szukałem odpowiedzi wśród szczupłych, a mimo to ani w dziesiątej części jeszcze nie zapełnionych ścian rady wyznaniowej. Około godz. 8 zebrał się komplet, wynoszący około 50 osób. Byli to reprezentanci rozmaitych odcieni towarzyskich: od chałatowców aż do wyświeżonych tużurkowych doktorów praw, którzy w tem zgromadzeniu rej wodzili... Wiek tych pijonierów nowej idei żydowskiej wahał się przeważnie od 24 do 30 roku życia, a więc mamy do czynienia z najnowszą generacją, która zaledwie kilka lat temu opuściła ławy szkolne.

Czytelnicy wiedzą już cokolwiek o tendencjach nowego towarzystwa z artykułu, ogłoszonego w *Głosie Narodu* przed kilku tygodniami. Dla lepszego scharakteryzowania sprawy, przytoczymy najważniejsze ustępy ze statutu:

„Celem stowarzyszenia jest: społeczno-polityczne wykształcenie jak najszerszych warstw narodu żydowskiego w Galicji, obrona wszelkich interesów żydowskich, szczególnie zaś politycznych i ekonomicznych, strzeżenie praw przysługujących żydom galicyjskim, jako członkom gmin politycznych i wyznaniowych, oraz kraju i państwa, w końcu pielęgnowanie solidarności wśród żydów w Galicji. Do osiągnięcia powyższego celu dąży stowarzyszenie wszelkiemi dozwolonemi środkami, a szczególnie przez: a) zgromadzenia członków, b) odczyty i wykłady, c) zwoływanie i urządzanie wieców ludowych, d) utrzymywanie bibljotek i czytelń, e) wydawanie, drukowanie, rozdawanie lub też sprzedaż pism, broszur i książek w związku z działalnością stowarzyszenia będących, f) wysyłanie petycyj, adresów, memorjałów i deputacyj do powołanych ciał i organów, g) wpływanie w ramach obowiązujących ustaw na wybory do ciał reprezentacyjnych i Rady państwa, Sejmu galicyjskiego, rad powiatowych, gminnych i wyznaniowych w Galicji".

Otóż na tle takiego programu odbyło się to pierwsze zebranie. Zagaił je kandydat adwokacki, dr Gerszon Zipper, podnosząc, że tylko polityczne stowarzyszenie skutecznie może działać dla poprawy losu żydów. Władze galicyjskie nie zaznaczyły swojej sympatji dla nowego ruchu żydowskiego. Namiestnictwo z powodu jakiejś niedokładności odrzuciło statut i dopiero druga stylizacja, przedłożona ministerstwu spraw wewnętrznych, uzyskała aprobatę. Mówca narzeka na indyferentyzm, panujący wśród samych żydów i przyznaje się, że komitet przygotowawczy dlatego tylko nie zaprosił na zgromadzenie szerszych kół, ponieważ obawiał się dyskusji na temat: czy wogóle towarzystwo takie jest potrzebne? Zakończył niejasnem zdaniem, że zgromadzenie to może być przełomowym zwrotem na lepsze, albo fatalną chwilą dla całego żydostwa. Następnie wybrano przewodniczącym zebrania kandydata adwokackiego, dra Abrahama Salza z Tarnowa i dokonano zapisu członków: zapisało się ich 36.

Teraz wywiązała się sławna i jedyna w swoim rodzaju dyskusja nad wyborem prezesa, która trwała do godziny wpół do 12 w nocy. Prowadzono ją w języku polskim, niemieckim i w żargonie. Ponieważ w ciągu tej dyskusji posypało się kilka gorących mówek programowych, charakteryzujących niezłe cały ruch młodożydowski, przytoczę zatem jej przebieg w streszczeniu. Otóż najpierw wysunięto kandydaturę adwokata jarosławskiego, dra Blumen-

felda. Ten pan, lat około czterdziestu, a więc jeden ze starszych w zgromadzeniu, nie uderza inteligencją. Wygląda raczej na komiwojażera, niż na adwokata. Przytem mówi haniebnie po polsku. Takie subtelności, jak poprawne wymawianie liter ś i ć są dla p. Blumenfelda przeszkodą nie do pokonania, dlatego całkiem swobodnie mówi sobie „odpowiedżalnoszcz“, „trudnoszcz“ i „częszkie zadanie“, za co oczywiście dostaje olbrzymie brawo. P. doktor używa nawet całkiem nowoukutych (nb. przez siebie) wyrazów jak „mycować“ (zamiast przemycić) i „sprostować zadaniu“ (zamiast sprostać). Wybrany prezesem, wychodzi na środek sali, wkłada obie ręce do kieszeni w inieksprymablach, wydyma wargi i... oświadcza, że rezygnuje. Brakowało jeszcze tylko typowego założenia palców za szelki — wtedy byłoby już wszystko *in Ordnung*. Ale nie oddalajmy się od przedmiotu...

P. dr Blumenfeld zaproponowany na prezesa towarzystwa politycznego żydów galicyjskich i bukowińskich, zabrał głos. Ogólna cisza. P. Blumenfeld mówi!...

Dowiedzieliśmy się z tej jego mowy, że żydom nie dano możności pracować razem dla dobra kraju i dlatego organizują się osobno, gdyż chcą równolegle z „tubylcami“ (to mamy być my) dla jego dobra pracować. „Syon“, który ma także racje bytu, działa w innym zakresie, a towarzystwo polityczne będzie działało w innym zakresie, dlatego też pożądanem jest, ażeby do wydziału tow. weszły także osoby, stojące poza syonizmem.

Było to *kurz und bindig*. Za to teraz rozbiła się szkuta z nudnymi i i rozwlekłymi aż do rozpaczy mówcami. Zaraz po dr Blumenfeldzie zabrał głos p. Sprecher, mały brunecik, o cieniutkim, jak panna głosie. P. Sprecher wystąpił z długą perorą przeciw p. Blumenfeldowi, który nie pojmuje programu syonistów tak, jak trzeba i zaproponował na prezesa towarzystwa najwydatniejszego syonistę w Galicji, dra Salza. Na to powstał dr Feld i wygłosił długą mowę przeciw syonistom. Syonizm przybrał kierunek wprost niemożliwy, uprawia on cele egzotyczne. Dlatego też dr Feld, widząc bezpłodność syonizmu, pierwszy rzucił myśl stworzenia towarzystwa, któreby kultywowało alruizm żydowski i pracowało w kierunku przerobienia żydów na dobrych obywateli kraju i podźwignięcia ubogich warstw żydowskich z materjalnego upadku. Przeniesienie żydów do Palestyny jest niemożliwe, niechaj pracują tutaj. Dr Salz jest zbyt zacietrzewiony w kierunku kolonizacji palestyńskiej, reprezentuje swoją osobą zbyt jaskrawo program zagraniczny, dlatego niepodobna go wybrać prezesem instytucji, której działalność ma granice ściśle krajowe.

Również przeciw dr Salzowi wystąpił p. Saliterman. Tow. polityczne ma reprezentować wszystkich żydów, nietylko syonistów, którzy nie posiadają monopolu na zastąpienie interesów żydowskich. Prędzej czy później syonizm napotka na silną reakcję krajowców. Ludność nieżydowska nie może obojętnie patrzeć na propagandę syońską. Dobro kraju i dobro żydowstwa nie są pojęciami sprzecznemi: (?) można pracować dla ekonomicznego dobra żydów, a równocześnie iść razem z krajem. W rezultacie p. Saliterman popiera kandydaturę Blumenfelda.

Dr Salz, średniego wzrostu mężczyzna, blondyn, mocno łysy, lat trzydziestu kilku, o fizjognomji, posiadającej w sobie coś marzycielsko-apostolskiego, odpiera ataki, wymierzone na syonizm i na niego, jako reprezentanta syonizmu, a przy tej sposobności rozwija cały swój program polityczny. Syoniści nie są wrogami „tubylców“, jak twierdzi dr Feld, a program ich pozakrajowy nie jest tak straszny, ażeby się nim przerażać. Antysemityzm tryumfuje dziś w całej Europie. Nawet w Węgrzech, gdzie pozornie nie gnębi się żydów, nurtuje niechęć do nich. Zarzucają żydom, że doprowadzają do ruiny swoich współobywateli. To pretekst. My, tj. syoniści, chcemy pokazać, ze żydzi nie są społeczeństwem niemoralnem, że obok wad mają zalety. Kwestja żydowska będzie wtedy rozwiązaną, gdy nas będą poważali, a to nastąpi dopiero z chwilą zupełnego wyodrębnienia się żydów od obcych żywiołów.

Jeżeli żydzi nie podobają się komu dla sweich wad, to trzeba śmiało powiedzieć, że wady te wyrobiła jednostronność zarobkowania. Powiadają, że największego procentu przestępców przeciw moralności kupieckiej my dostarczamy. To trudno. (!) Po co nas ograniczono wyłącznie do zawodu kupieckiego, dla czego z nas zrobiono handełesów? Wszystkie niemal strony charakteru żydowskiego wyleczy rolnictwo, a stworzenie stanu rolniczego możliwe jest tylko tam, gdzie on już kiedyś istniał, t. j. w Palestynie. Gdzieindziej nie da się to przeprowadzić, gdyż nigdzie nie działają te tradycje, które związane są nierozdzielnie z ziemią biblijną. Pokazało się to na Argentynie. O wyeksportowaniu wszystkich żydów nie może być mowy ze względów czysto ekonomicznych i politycznych. Syonistom idzie tylko o stworzenie przytułków dla tych gnębionych żydów, których egzystencja tutaj jest podkopaną. To byłby główny rys zagranicznego naszego programu. Pozostaje część druga: działalność w kraju. Otóż tu należy energicznie zaakcentować, że syoniści nie mają wcale zamiaru wszczynać walki z dziesięć razy silniejszym narodem, cała ich działalność streszcza się do akcji odpornej; chcemy wyprosić sobie tylko to, co współobywatele nasi już mają w całej pełni. Nie mamy intencji szkodzenia krajowi. To byłby nonsens. Wszakże interesa nasze idą równolegle z interesami ludności krajowej. Jeżeli podniesie się wartość ekonomiczna Galicji — i my z tego skorzystamy.

Na tem skończyły się kandydacko-programowe wywody dra Salza. Mieliśmy jeszcze przyjemność wysłuchać dra Korkesa, w którego wielkiej osobie mieści się bardzo gorąca dusza syońska, dra Zippera, który z zacięciem namiętnego agitatora powtórzył *mutatis mutandis* to samo, co już raz mówił dr Salz i dra Grünfelda, który gwałtownie zaatakował syonistów. O godz. wpół do 12 w nocy wybrano prezesem wspomnianego na wstępie dra Blumenfelda, który oświadczył, że przyjmuje prezesurę na kilka dni, poczem wniesie pisemną rezygnację. Następnie wybrano po bardzo przewlekłem ceremonjowaniu się kilku członków zarządu, którzy poszli za przykładem prezesa i zrezygnowali. Te rezygnowania sprawiły tak komiczne wrażenie, że jakiś chałatowy obywatel wstał ogromnie zgorszony i palnął kłócącym się doktorom reprymendę. Wreszcie sklejono z wielką biedą zarząd, poczem przy odgłosie „marsyljanki syońskiej“ politycy żydowscy rozeszli się na kolację.

Reforma podatkowa w Kole polskiem.

Wiedeń 28 lutego.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

(*Sm.*) Najważniejszą sprawą obecnej chwili jest reforma podatkowa, której doniosłość społeczno-polityczna jest niezmiernie ważną. Dotychczasowy system podatkowy w Austrji obciąża głównie własność nieruchomą tak dalece, iż podatek domowy wraz z rozmaitemi krajowemi i gminnemi dodatkami wynosi okrągło połowę dochodu czynszowego brutto, z drugiej zaś strony opodatkowuje wysoko najniezbędniejsze przedmioty spożywcze, podczas kiedy kapitał wielki wolny jest od podatku. Lubo reforma podatkowa obejmuje tylko bezpośrednie kategorje podatkowe oznacza ona bezsprzecznie pomimo wszelkich swych wad i braków w szczegółach znaczny zwrot ku lepszemu, ponieważ przez zaprowadzenie podatku osobisto-dochodowego obejmuje podatkiem kapitał nieruchomy a natomiast przynosi umniejszenie podatku gruntowego, domowo-czynszowego i zarobkowego, a więc ulgi podatkowe dla obciążonej a raczej przeciążonej własności nieruchomej, jako też i dla klas pracujących. Koło polskie zajmowało się wyczerpująco tą sprawą, a prowadzona w Kole rozprawa jest wielce pouczającą i objaśniającą, zwłaszcza, iż omawiano tam także wpływ reformy na stosunki galicyjskie i niemal wszyscy mowcy zgodni byli co do tego, iż zamierzona reforma podatkowa Galicji tylko pożytek przynieść musi. Na posiedzeniu Koła polskiego był obecnym także ruski poseł Wachnianin. Koło bowiem zaprosiło ruskich posłów dla informacji na swe posiedzenia.

P. Kozłowski przyznaje, iż wypracowanie komisji jest lepszem aniżeli przedłożenie rządowe. Jako katolik przejęty zasadami encykliki *de rerum novarum* musi zgadzać się ze wszystkiem, co dobro ludu pracującego popiera. Jakkolwiek zgadza się z zasadą, obawia się jednak poniekąd skutków tej reformy. Lubo mowca podnosi osobiście zalety p. Dawida Abrahamowicza, sądzi jednak, iż w tej sprawie zajął on stanowisko doktrynera. Coby na to powiedział stary Krzeczunowicz? Zarzuca on reformie podatkowej głównie, iż pozostawia ona i nadal własność nieruchomą zbyt przeciążoną a natomiast mało opodatkowuje kapitał; że w kraju będzie brak odpowiednich organów wykonawczych, w końcu podciąga pod krytykę kontyngentowanie podatku zarobkowego i ustanowienie komisyj szacunkowych. W końcu oświadcza się za przejściem w izbie do rozprawy szczegółowej nad projektem reformy pod warunkiem, jeśli rząd przedłoży obniżenie kontygentu podatku gruntowego w Galicji.

P. Rutowski widzi w wypracowaniu komisyjnem rzecz sztukowaną, w szczegółach wymagającą poprawy. Zasadą podstawową projektu jest kompromis własności ziemskiej z kapitałem i wielkim przemysłem nie przeciw, lecz na korzyść klas pracujących. Ci, co tę rzecz przeprowadzili, mieli wzgląd na potrzeby czasu. Ci co reprezentują własność, kapitał i władzę, zrozumieli zadanie czasu wobec słabszych żywiołów. Z punktu krajowgo musi być uznanem za kamień filozoficzny możliwe ulżenie pracy i wytwórczości w kraju a obciążenie tych źródeł, których w kraju najmniej. Bilans całej reformy wypada względnie korzystnie dla nas. Mowca wykazuje liczebnie, że włościanie w Galicji będą mieli nadto rocznie ulgę 700,000 złr. i że tutejsza średnia szlachecka własność ziemska, pomimo podatku dochodowego, dozna ulg. Podatek osobisto-dochodowy uważa mowca za pierwszy szczęśliwy krok, niedostateczny, bo pierwszy, ale zawsze krok znaczny naprzód. Przy zamożności innych krajów będzie wydatność reformy podatkowej większą, aniżeli ją rząd szacuje.

Sprawę podatku zarobkowego uważa jako najszczęśliwiej rozwiązaną. Pomimo kontyngentu widzi właśnie wartość w tem, co Kozłowski potępia, mianowicie w dopuszczeniu w wysokiej mierze czynników autonomicznych i stron interesowanych. Karci nieufność Kozłowskiego do tych czynników. Życzyć tylko należy, żeby społeczeństwo powołując ludzi wyboru do służby podatkowej, nie powoływało niedołęgów. Mowca podciąga pod krytykę program finansowy. Tu kompromis nie doprowadził do tego, czego sobie Koło polskie życzyło. Wówczas było Koło postawiło jako warunek, uregulowanie sprawy finansów autonomicznych. Mowca zaproponuje przy rozprawie szczegółowej, zabezpieczenie przekazywania udziału odsetkowego, udziału podatków stałych na rzecz kraju. W końcu oświadcza się za przejściem w Izbie do rozprawy szczegółowej nad projektem reformy.

P. Potoczek chciałby zrównania opustu przy podatku gruntowym, z opustem przy podatku zarobkowym.

P. Lewicki: Można nad tem z Kozłowskim ubolewać lub z Abrahamowiczem cieszyć się, ale nie można temu zaprzeczyć, iż wprowadzenie podatku osobisto-dochodowego jest dowodem wielkiego postępu i zadośćuczynieniem żądaniom, których wspólnie nauka z praktyką życiową koniecznie się domagały. Tylko przy tej pomocy można było przystąpić do zmniejszenia podatków stałych. Jednak punktu wyjścia dla tej reformy należy szukać w dziele tego Polaka, który wprowadzając równowagę budżetową, umożliwił reformę podatkową na korzyść obywateli. Najwyższy w całej Europie podatek domowo-czynszowy, cztery razy wyższy, aniżeli gdzieindziej, podatek gruntowy, najniesprawiedliwszy rozdział podatku zarobkowego i zupełna wolność od podatku kapitału — to były powody reformy. Drugim jej powodem było uznanie, że niesłychany wzrost życia autonomicznego w krajach i gminach wymagał nowych źródeł dochodu. Tym życzeniom czyni obecna reforma zadość, ale tylko w pewnej części. Z chwilą jednak, kiedy państwo uczyniło pierwszy krok na drodze podatku osobisto-dochodowego, jest uzasadnioną nadzieja, iż dojdziemy z czasem do oddania krajowi wszystkich podatków bezpośrednich. Mowca polemizując z Kozłowskim, usiłuje dowieść, że reforma podatkowa nie tak mały chwyciła kapitał. Na pytanie Kozłowskiego, coby Krzeczunowicz powiedział na to, co się obecnie w Kole polskiem dzieje— odpowiada: — Krzeczunowicz w niebie cieszy się, że uczeń (Abrahamowicz) przeszedł mistrza (Krzeczunowicza), bo kiedy sam Krzeczunowicz stanął na negacji, to sprawozdawca komisyjny (Abrahamowicz) musiał przeprowadzić reformę nie czyniąc krzywdy większej posiadłości.

P. Lewicki zastanawia się dalej nad bilansem nowej ustawy podatkowej wobec Galicji i przychodzi do następującego wyniku: sześć milionów chłopów galicyjskich nie zapłaci ani centa podatku osobisto-dochodowego, natomiast będzie uczestniczyło w opustach podatkowych od 10 do 25 od sta. Jeśli się zapytamy: kto to płacić będzie? — odpowiedź brzmi: większa posiadłość nie, a tylko fabrykanci, kupcy i więksi kapitaliści, w których kraj nasz niezbyt opływa. Z wywodami p. Pinińskiego nie zgadza się mowca i polemizuje z nim, wykazując, iż podatek zarobkowy oznacza

dla rękodzielników bardzo znaczne korzyści i tak wielkie ulgi, iż na razie trudno nawet sobie zdać sprawę o całej ich doniosłości. W myśl §. 5 nowej ustawy podatkowej, będzie najliczniejsza część drobnych przemysłowców zupełnie uwolnioną od opłat podatku zarobkowego, średni zaś przemysł korzystać będzie z opustu podatkowego aż do 25%, podczas gdy wielkiemu przemysłowi żadnych ulg nie przyznano. Jako główną wadę projektu reformy podatków uważa mowca niezadawalające rozwiązanie sprawy podatków krajowych i gminnych. Pod tym względem nie zadowala go projekt, zastrzega sobie zatem stawienie odpowiednich poprawek przy rozprawie szczegółowej.

P. Milewski podnosi, iż niektórzy fałszywie rozumieją znaczenie wyrazu „społeczno-politycznego" przy reformie podatkowej. Każdy podatek ma znaczenie społeczne, bo jest czynnikiem w rozdziale bogactwa narodowego. Każdy podatek musi stać na zasadzie sprawiedliwości. Podstawami jego powinny być: równomierność i powszechność. Temu wymaganiu czyni niniejsza reforma podatkowa w największej mierze zadość. Podatek powinien obciążać w miarę możności gospodarczej. Źródło dochodu musi również być uwzględnionem. Silniejszym jest dochód z gruntu i renty, aniżeli z płacy, dlatego inaczej musi być traktowanym i obciążonym dochód z gruntu lub renty, aniżeli z pracy. Niniejsza reforma nie jest ideałem, ale nikt jeszcze nie wymyślił podatku dobrego. Każdy podatek jest złym. W końcu oświadcza się mowca za przejściem do rozprawy szczegółowej w Izbie nad przedłożonym projektem nowego opodatkowania.

P. Dawid Abrahamowicz chciałby, żeby rozprawa niniejsza prowadzoną była publicznie, aby wszyscy wiedzieli, z jaką powagą i gruntownością rozstrząsa Koło polskie sprawę podatkową. Niestety, projekt zawiera niejedną spuściznę po swoim ojcu, którąby mowca chętnie darował. Czynić tego ostatecznie nie można, ponieważ państwo ma swoje potrzeby i wymagania, którym koniecznie zadość uczynić należy. Państwo nie może zrzekać się swego obecnego dochodu. Mowca zbija poszczególnie zarzuty, czynione projektowi reformy przez pp. Żuka-Skarzyńskiego, Pinińskiego i Kozłowskiego. Wobec obawy Pinińskiego, iż nie będzie w kraju komu wykonać reformę, podnosi mowca z pewnością większe jeszcze trudności, jakie będąca również w toku reforma cywilnego postępowania sądowego przedstawia. Dlaczego p. Piniński o tych trudnościach zachowuje pełne milczenie? Mowca, lubo nie jest gorącym zwolennikiem reformy podatkowej, oświadcza się za spiesznem jej załatwieniem, w każdym razie przed reformą wyborczą, gdyż po tej reformie wypadłaby ona o wiele gorzej.

P. Szczepanowski wyraża Abrahamowiczowi uznanie za jego czynności w sprawie reformy podatkowej. W politycznych stronnictwach zachowawczych, spostrzega on od lat kilku postęp na rzecz myśli społeczno-politycznej i liczenie się z potrzebami czasu. Dowodem tego jest wniosek szkolny Stanisława Badeniego w Sejmie galicyjskim. W tem zachowaniu się stronnictw zachowawczych, leży też usprawiedliwienie dla pokojowej polityki stronnictwa postępowego, którego szermierzem jest mowca. Uważa on stawienie warunku obniżenia kontyngentu podatku gruntowego w Galicji, przy głosowaniu za przejściem do rozprawy szczegółowej w Izbie nad reformą podatkową, jak sobie tego życzy Kozłowski za niewłaściwe. Mniejsza reforma jest bardzo doniosłą i musi być szybko załatwioną. *Conditio sine qua*: przed reformą wyborczą. Wady projektu, widzi mowca głównie w wysokiej skali podatku domowo-czynszowego i podatku rentowego. Zastrzega sobie co do tego stawienie poprawek. Reforma nakłada zbyt wysoki podatek na Kasy oszczędności. Są to w części zaś zakłady humanitarne, które na cele humanitarne wydały około 50 mil. guld. Obecnie pochłonie prawie całą zwyżkę podatek, tak, iż państwo wziąłoby wszystko, co Kasy mogłyby obrócić na cele dobroczynne.

RADA PAŃSTWA.

(*Oryginalne sprawozdanie Głosu Narodu*).

Wiedeń 1 marca.

(*Sm*). Na początku dzisiejszego posiedzenia Izby poselskiej zdaje prezydent Chlumetzky sprawę o wczorajszej swej audjencji u cesarza, na której o-baw żałoby, z powodu śmierci arcyksięcia Albrechta podał on cesarzowi do wiadomości, co cesarz przyjął bardzo życzliwie, polecając mu wyrazić Izbie swe najgorętsze podziękowanie. Minister Baquehem odpowiada na kilka interpelacyj. Młodoczeski poseł dr Brzorad podaje do wiadomości Izby, że młodoczeskim członkom komisji dla reformy wyborczej wzbroniono wstępu na posiedzenie komitetu. Mowca widzi w tem postępowaniu nadwerężenie parlamentarnych praw członków komisji. Podkomitety bowiem nie mają samoistnego regulaminowego istnienia, zatem nie posiadają prawa osłaniania swoich obrad tajemnicą.

Prezyd. Chlumetzky nie widzi w tym wypadku nadwerężenia regulaminu, zatem nie ma on powodu do interwencji. Owszem podkomitet działał zupełnie zgodnie z regulaminem, który porucza komisjom dozwolenie lub wzbronienie swoim członkom przystępu na posiedzenia podkomitetów.

P. dr Brzorad zapowiada, iż Młodoczesi będą żądali od komisji jawności obrad podkomitetu. Leży to w interesie ogółu, który chce wiedzieć, co właściwie podkomitet robi, jakoteż chce znać nazwiska tych członków podkomitetu, którzy sprawę reformy wyborczej zwlekają. Żąda w tym celu od prezesa komisji, br. Widmanna zwołania posiedzenia komisji.

P. Widmann oświadcza gotowość zwołania każdej chwili posiedzenia komisji, jeśli komisja tego zażąda.

Młodoczeski p. Kramarz podnosi, iż na posiedzeniu podkomitetu podatkowego mieli członkowie komisji dozwolony przystęp.

Prezyd. Chlumetzky: To właśnie rzecz komisji, która ma prawo uchwalić jawność, więc członkowie komisji mogli bywać na posiedzeniach podkomitetu.

P. dr Pacak stawia na podstawie §. 31 regulaminu Izby wniosek, żeby, na ostatniem posiedzeniu odrzucony jego wniosek naglący w sprawie nienaruszalności mów poselskich, przydzielono komisji prasowej z poleceniem zdania o nim sprawy w przeciągu dni czternastu.

Wniosek ten Izba przyjęła.

Poczem Izba przechodzi do porządku dziennego, mianowicie do dalszego ciągu rozprawy szczegółowej nad nową ustawą karną (rozdział piąty: zbrodnie i przestępstwa przeciwko działalności i powadze władzy państwowej).

P. dr. Pacak znajduje że postanowienia rozdziału piątego nowej ustawy są dla wolności słowa i prasy daleko niebezpieczniejsze, aniżeli postanowienia obecnie obowiązującej ustawy. Mowca czyni wniosek, żeby rozdziały 5 i 6 odesłano napowrót do komisji w celu więcej wolnościowego ich opracowania.

P. Marchet wnosi, żeby do rzędu osób w §. 116 wyłuszczonych jako w publicznej służbie stojących, zaliczyć także personal nauczycielski przy szkołach ludowych i wydziałowych w celu nadania mu powagi na zewnątrz

Młodoczeski poseł Slavik jest również za odesłaniem do komisji. Oświadcza on, iż §. 114 jest grobem wszelkiej krytyki. Wedle brzmienia tego paragrafu, staje się dziejowa krytyka w Austrji rzeczą niemożliwą.

P. dr. Kopp broni wypracowania komisyjnego. Jego stronnictwo (lewica) uważa ustawę za nadzwyczaj dobrą i wielki postęp znamionującą. Ustawa może mieć wady, ale lepszej nie można było zrobić. Obecnie obowiązująca ustawa karna powstała w czasie największego zacofania. Czas ostateczny, żeby ją już raz zastąpić nową.

P. Slama zastrzega się przeciwko zarzutowi uczynionemu posłom młodoczeskim, jakoby oni prowadzili obstrukcyę. Młodoczeski poseł Sokol widzi we wszystkich obradach parlamentarnych silną dążność wsteczności. Rada państwa wytęża wszystkie swoje siły, aby ostatnią resztę wolności zdusić.

Poseł monsignore Scheicher zabiera głos, występując silnie przeciwko niektórym postanowieniom paragrafów rozdziału piątego.

Izba uchwala rozdział piąty wedle wniosków komisji. Poseł młodoczeski Engel wnosi interpelacyę do ministra oświaty, dlaczego odmówiono przyjęcia na rachunek gminy czeskiej szkoły w wiedeńskiej dzielnicy Favoriten. W odmowie tej leży nadwyrężenie zasadniczych ustaw państwa.

Posiedzenie trwa dalej.

List z pola walki.

Kintschu d. 31 grudnia 1894.

Mieszkam w Kintschu, w hotelu Inwalidów. Żaden z ludzi ucywilizowanych nie ma pojęcia o tych norach, w których przed nami mieścili się Chińczycy wraz ze swojemi rodzinami. Pokoiki niskie, szczupłe, brudne, pełne kurzu i nieczystości. Pół dnia czyszczono i wymiatano, palono w piecach, nim mogliśmy się wprowadzić i rozciągnąć znużone członki na dobrze ogrzanych cegłach. Łóżek tu bowiem nie znają i ludność śpi na niskich piecach ceglanych, na których rozkłada maty i poduszki.

W Kintschu przebywa teraz cała armja japońska, pod dowództwem marszałka Oyamy. Przeszło 30.000 ludzi musi się mieścić w małem miasteczku, dość nędznie obwarowanem. Jeneralny sztab japoński potrafił jednak zaradzić wszystkiemu i żołnierze mają znośny przytułek. Miasto opasane jest murem, najeżonym co kilkadziesiąt kroków wieżami i wieżyczkami. Gdy się pojawili Japończycy, wszyscy prawie mieszkańcy uciekli. Powoli jednakowoż wracają i oddają się w dalszym ciągu swoim dawnym zatrudnieniom, głównie handlowi. Przekupnie żywności robią nawet świetne interesa, bo Japończycy lubią dobrze żyć, a płacą za wszystko srebrem i złotem. Rano, główny targ na placu jest ogromnie ożywiony. Każdy podoficer japoński, szanujący swoją osobę, musi mieć kurę na objad, więc też handlarze drobni literalnie są oblężeni. Porządek jednak panuje wzorowy i ani raz nie słyszałem, aby coś zrabowano, lub żeby za towar nie uiszczono należności.

Subordynacja w armji japońskiej zasługuje na wszelkie uznanie. Wieczorem w mieście jest tak cicho jak w klasztorze, chociaż kawiarnie i restauracje pootwierane są do późnej godziny i wszędzie pełno żołnierzy i oficerów. Bawią się jednak przyzwoicie, bez krzyków i hałasów.

Marszałek Oyama jest ideałem wodza. Razem z żołnierzami dzieli trudy i zabawy. Nazajutrz po bitwie i uciążliwym marszu, żołnierze oddają się wesołości z takim zapałem, jakby wrócili z krótkiej przechadzki. Grają komedję, pantominę, a głównie zajmują ich walki atletów. W sztukach improwizowanych na poczekaniu, nieszczęśliwy Chińczyk jest zawsze celem naigrawania i pośmiewiska. Wszyscy go poniewierają od początku komedji do samego końca. Ciągną za warkocz, obrywają go, a publiczność wybucha ciągłym śmiechem i bije szalone brawa. Między grającymi żołnierzami odkryłem niejeden prawdziwy talent aktorski, który na scenach europejskich zająłby niepoślednie stanowisko. Japończycy jednak do dramaturgji nie przywiązują wielkiej wagi, a tylko cyrk i balet jest u nich w poważaniu. Najprzedniejszą częścią programu widowiska, jest walka atletów. W szranki wstępują istne olbrzymy. Mocują się według reguł, a zwycięzca zawsze jest suto wynagradzany. Po przedstawieniu marszałek Oyama, zaprasza zwykle do siebie na kolację oficerów sztabowych i korespondentów dziennikarskich. Zdziwiłem się obfitości pokarmów i napojów. Na stołach olbrzymich zastawiono ćwiartki wołów, jeleni, całe barany. Liczne baterje butelek szampańskiego i wódki ryżowej, służą do podniecenia wesołości. Etykiety nie ma, wśród towarzystwa panuje równość. Zwykły podporucznik siada obok jenerała, pije z nim braterstwo, co wcale nie przeszkadza, że jutro na mustrze będzie stał przed nim wyciągnięty jak struna. Podczas tej uczty przygrywała orkiestra wojskowa i słyszałem nawet „Wacht am Rhein" i „Marsyljankę".

Po kolacji odprowadza mnie na kwaterę rotmistrz ułanów, hr. Sameshima. Przez drogę rozmawiamy o wojnie.

— Przyznasz pan — rzekł rotmistrz — żeśmy się nie dali wziąć jenerałowi Zimie. Chińczycy sądzili, że wymarzniemy w Mandżurji, tymczasem żyjemy sobie przyzwoicie, pijemy szampana, a stan zdrowotny armji jest przewyborny. Z wiosną pójdziemy do Mugden i zajmiemy kolebkę cesarzy chińskich. Druga armja zdobędzie Pekin. Zawrzemy pokój honorowy i zyskowny, a ja z panem jadę do Paryża na odpoczynek. Czy zgoda?

— Ma się rozumieć! — Przy tych słowach uścisnąłem rękę dzielnego kawalerzysty, a zarazem dżentelmena pierwszej wody.

Na głównej ulicy Kintschu, sklepy były jeszcze otwarte. Wstąpiliśmy do jednego i zastaliśmy w nim kilku oficerów grających wista. Rzucali karty

jak automaty i słyszałem tylko głosy przy licytacji. Skończyli partję, pokłonili się i wyszli. Jak się dowiedziałem, byli to czterej synowie jednego z najbogatszych daimosów, czyli dawnych książąt feudalnych.

Chinki przy zbliżeniu się nieprzyjaciela, uciekły w góry wraz z dziećmi. Te, które nie mogły zdążyć, pozabijały się, a dzieci potopiły. Heroizm niepotrzebny, gdyż Japończycy nadzwyczaj względnie obchodzą się z ludnością, a urzędnikom chińskim wypłacają nawet pensje.

ZE ŚWIATA.

Paryż d. 28 lutego.

(List oryginalny Głosu Narodu).

Prezydent Faure zna widocznie usposobienie Paryżan, gdyż ciągle daje mówić o sobie. Nie ma dnia, aby się nie pokazał na ulicy, lub nie zwidził jakiego zakładu filantropijnego, albo galerji obrazów. Za kilka dni zostanie otwartem dla publiczności muzeum księcia Galliera. Mieści ono w sobie arcydzieła Sztuki, szczególniej dział portretów kobiecych jest znakomicie reprezentowany. Prezydent Faure zapowiedział tam pierwszą swoją wizytę i robią się przygotowania do przyjęcia odpowiedniego naczelnika władzy. Pani Faure wraz z córkami zwidza najuboższe zakątki stolicy i pełnemi rękami rozdziela jałmużnę.

Jeden z dzienników prowincjonalnych przytacza interesujący szczegół z wojny 1870 r. W Hawrze bawili wtenczas dwaj przyszli prezydenci Rzeczypospolitej i zajmowali dość skromne stanowiska. Carnot był prefektem departamentu, a Faure kapitanem gwardji ruchomej. Wieczorami schodzili się na pogawędkę do jednej kawiarni, a towarzyszył im prawie zawsze dowódca oddziału wolnych strzelców, niejaki Robert Lefort. Było to przybrane nazwisko, a prawdziwe brzmiało: książę de Chartres.

Wyścigi wiosenne w Auteuil miały się już zacząć 15 lutego, ale z powodu zimna i terenu mokrego, zostały odłożone do 6 marca.

Komitet i członkowie salonu artystycznego na polu Marsowem powzięli ważną decyzję: obesłania berlińskiej wystawy Sztuki. Odnośne postanowienie, zredagowane na piśmie, posłano wszystkim dziennikom. Krok ten wywoła w całej Francji ogromną burzę i chociaż znajdą się jego obrońcy, większość narodu stanowczo potępi zachowanie się malarzy. Na czele komitetu stoi taka powaga, jak Puvis de Chavannes, a po za nim cały szereg wybitnych artystów. W uchwale położyli nacisk, że sztuka jest międzynarodową i nie ma nic wspólnego z polityką i wojnami. W każdym jednak razie fakt ten, chociaż prawdopodobnie nie zostanie uznanym przez kraj, świadczy dość wymownie, że z postępem czasu gaśnie powoli ta silna nienawiść do Niemców, jaka panowała długi czas po wojnie.

Robotnicy włoscy mieszkający w Paryżu w liczbie 1.500, wystosowali petycję do swego króla Humberta, z powodu jego urodzin. W niej proszą go, aby uwolnił kapitana francuskiego Romaniego, zasądzonego za szpiegowstwo na więzienie. Podanie swoje motywują tem, że wypuszczenie kapitana Romaniego, polepszy stosunki między obydwoma narodami i robotnicy włoscy nie będą tak prześladowani, jak się teraz dzieje.

W teatrze „Komedji francuskiej" odegrano wczoraj utwór Moliera: „Mieszczanin spanoszony". Dochód wyniósł 8.676 franków i 50 centymów. Od czasu istnienia tego teatru, po raz pierwszy osiągnięto tę cyfrę. Drugi najwyższy dochód był w 1890 r., obliczony na 8.626 franków. Grano także „Mieszczanina spanoszonego".

Na ambulatorjum szczepienia dyfterji sposobem doktora Roux, zebrano dotąd 750.604 fr. Skutkiem tego surowicę można było rozesłać do wszystkich miast i wsi, a nawet do Algieru i innych kolonij francuskich.

W cyrku tutejszym popisywało się dwóch wybornych gimnastyków angielskich braci Helley. Jeden z nich przed kilkoma dniami spadł z trapezu, lecz podniósł się zaraz i dokończył wywracania koziołków. Publiczność obdarzyła go sutemi oklaskami. Clown kłaniał się i uśmiechał smutnie. Za powrotem do domu położył się do łóżka i więcej nie wstał. Pokazało się, że przy upadku zgruchotał sobie kolumnę pacierzową. Pogrzeb jego odbył się dzisiaj. Za trumną szli tylko bracia jego po sztuce, a było ich kilkuset obojej płci. Widocznie sport ten ma licznych amatorów w Paryżu. *K. W.*

FEJLETON.

JAN WILK

57 POWIEŚĆ

Emila Richebourg'a.

(Ciąg dalszy).

— Pani jedna stajesz w jego obronie.

— Bo ja jedna mogę to uczynić. Wkrótce i ty panie Grandin podzielisz moje niezachwiane przekonanie i wrócisz Wilkowi dawną przyjaźń i przychylność..... Naprzód trzeba pann wiedzieć, że najfatalniejsza omyłka sprowadziła śmierć tragiczną nieszczęśliwej Joasi. Wilk chciał ją z rzeki wyciągnąć, jak ratował chłopca tonącego, jak mnie zatrzymał nad brzegiem otchłani. Na nieszczęście rzeka wezbrała po wielkiej ulewie, nawet z brzegów wystąpiła. Musiano to panu opowiadać, jak wir porwał Joasię i uniósł ją tak daleko, że nawet jej ciała nie mogli odszukać.

— Ależ, tego, co mi pani mówisz, nikt nie wie prócz ciebie jednej...

— Być może; dniało zaledwie i nikogo więcej nad rzeką nie było... Mniejsza o to! Czego pragnę dowieść panu, to faktu niezbitego, że Wilk jest najniewinniejszym w tej całej sprawie, a pańska narzeczona nie została wcale shańbioną przed śmiercią.

— Pani utrzymujesz! — Jerzy schwycił się za głowę blady i drżący, jak w febrze. Następnie uśmiechnął gorzko. — Jest na to dowód czarno na białem, w liście Joasi... są ślady bosych stóp Wilka w ogrodzie, pod oknem od jej pokoju.....

— To wszystko dowodzi jedynie, panie Grandin — podchwyciła Henryka z całą energją — że Wilk odegrał tej nocy nieszczęsnej rolę iście bohaterską; dowodzi również fatalnej omyłki biednej Joasi... Nieszczęśliwa była okropnie walką wzburzona, prawie oszalałą z przerażenia. Budziła się z długiego omdlenia. Spostrzegła pieska martwego... zaduszonego. Stanął przed nią Wilk. Nie mogła na razie zdać sobie sprawy dokładnej z tego, co zaszło w jej pokoiku. Straciła głowę najzupełniej... Och! i ja byłabym to samo przypuściła na jej miejscu! A Wilk biedny nie umiał przemówić.... Wiesz pan, w co nieszczęsna uwierzyła... Ujrzała nagle pod stopami bezdenną otchłań hańby. Sądząc, że jest na wieki zniesławioną, w dzikiej rozpaczy napisała ów list z pożegnaniem do swego ojca przybranego i uciekła z domu, goniona przez dzikiego, który odgadł, wiedziony cudownym instynktem, przemieniającym się u niego częstokroć w jasnowidzenie... odgadł jej straszny zamiar.

Jerzy z szeroko rozwartemi źrenicami, dyszący i rozgorączkowany, wchłaniał w siebie z najwyższą chciwością każde słowo, padające z ust panny de Simaise.

— I cóż, panie Grandin? — spytała. — Zaczynasz mnie rozumieć?

— Dotąd nie zupełnie jeszcze...

— Jakto? Niczego się pan nie domyślasz?

— Szukam... ale znaleść nie mogę klucza, rozwiązującego straszną zagadkę.

— Noc okropnie burzliwa, pełna grzmotów i piorunów. Upał duszący. Błyskawice rozdzierają co chwila niebo światłem ponurem. Okno w pokoju Joasi otwarte, po za spuszczoną żaluzją. Zgasiła świecę, usnęła... Złoczyńca zakrada się do ogrodu, przystawia drabinę do okna, wspina się po jej szczeblach, wskakuje na środek pokoju... Piesek wierny i czujny chce bronić swojej pani, łotr go zabija... Budzi się Joasia ze snu ciężkiego, wydaje krzyk rozdzierający, woła o pomoc, o ratunek... Trzecia osoba zjawia się nagle w pokoiku. To Jan Wilk, to zbawca nieszczęśliwej ofiary! Był niedaleko, kręcił się koło domu, przeczuwając coś złego... Usłyszał krzyki przeraźliwe narzeczonej swego druha najserdeczniejszego. Ten drugi.... ten.... tchórz podły i nikczemny.... struchlały na widok dzikiego, ucieka czemprędzej tą samą drogą, którą przybył. Oto, panie Grandin. cała scena, oto dramat w całej osnowie!

— I to jest prawdą? — Jerzy wykrzyknął.

— Panie poruczniku — odpowiedziała Henryka z godnością — nie byłabym przecie przychodziła tutaj w celu okłamywania ciebie.

— Och! Joasiu, Joasiu, moja biedna, najdroższa Joasiu! — szepnął Jerzy tonem najczulszym, z oczami w niebo wzniesionemi.

Zapanowało długie milczenie. Jerzy przemówił na nowo:

— Czy pozwoli mi pani zadać sobie jedno, jedyne pytanie?

— Ależ proszę, pytaj pan.

— To odkrycie nadzwyczajne, które otrzymuję od pani?....

— Cóż dalej?

— Jakim cudem i przez kogo doszło ono do pani wiadomości?

Po chwili wahania odpowiedziała z pewnem zmięszaniem.

— Mam te wszystkie szczegóły od samego Wilka...

— Od Wilka? Przecież on nie umie mówić!

— Och! ja rozumiem go doskonale. Wytłómaczył mi wszystko czterema wyrazami bez związku na pozór... Dodał do tego ruchy tak wyraziste, że zdawało mi się, iż cały ten dramat okropny odgrywał się przed mojemi oczami, że patrzę tam na każdą scenę z osobna.

— Pani zatem jesteś silnie przekonaną o Wilka niewinności?

— A ty, panie Grandin, czy nie wierzysz w nią tak samo, jak ja?

— Rzeczywiście, potrafiłaś pani przelać we mnie twoje własne przekonanie.

Oczy Henryki zabłysły radością.

— Ach! — wykrzyknęła z zapałem, który zdziwił Jerzego. — Byłam pewną, że po rozmowie ze mną staniesz pan w tej sprawie po mojej stronie!

— Zapewne pani... Uwierzyłem razem z tobą, że Wilka niewinnie oskarżono. Cóż jednak mamy dalej począć oboje? Co ja mam czynić przedewszystkiem?

— Panie Grandin, wystarcza mi chwilowo, żem zdołała cię przekonać o prawdzie słów moich i że wracasz do twojej dawnej przyjaźni dla biednego Wilka.

— Panią obchodzi widocznie bardzo żywo los tego nieszczęśliwego?

Oblała się nagle szkarłatem, oczy wlepiając w podłogę.

— A to, co znaczy? — Jerzy pomyślał. Dodał zaś głośno: — Wątpiłem o prawości Wilka, sądziłem, że popełnił czyn haniebny. Teraz jednak oddaję mu napowrót przyjaźń i szacunek. Ale to znaczy uczynić zbyt mało dla kogoś zamkniętego w więzieniu i oskarżonego o zbrodnię, której wcale nie popełnił.

— Święta prawda! — Henryka smutno głową potrząsła. — Musimy jednak z tem trochę zaczekać. Pan de Violaine ma liczne stosunki tak w Epinal, jak i w Paryżu. Żyje w przyjaźni z osobistościami bardzo wpływowemi. Postarają się osłodzić ile możności los tego biedaka..... Czuję się zadowoloną, nawet szczęśliwą, że nie żyje on więcej w lesie pospołu z dzikiemi zwierzętami. Tyś dopomógł głównie żandarmom, panie Grandin do schwytania Wilka. Och! nie mam o to żalu do pana. Dobrześ uczynił. Czyż mógł tak dalej istnieć? W nędzy, w poniewierce, jak jaki wyrzutek społeczeństwa?... Zaczną go kształcić umysłowe. Zrobią z niego z czasem człowieka rozumnego, ucywilizowanego.... jak każdy z nas.... Powiem więcej nawet.... Któż wie, czy Wilk nie zasłynie później w świecie swojemi zdolnościami, swoją niezwykłą inteligencją? Jest dobrym, szlachetnym, gotowym każdej chwili do poświęceń dla innych ludzi. Serce jego zdolnem jest do uczuć najwznioślejszych; człowiek ten posiada wszelkie warunki, które tworzą ludzi znakomitych!... Ach! — zawołała z niesłychanem uniesieniem — ja jedna go znam! ja jedna!

Tym razem Jerzy nie mógł dłużej wątpić. Słuchając serca namiętnych porywów, Henryka zdradziła się mimowolnie.

— Racz mi pani przebaczyć może nazbyt śmiałe twierdzenie — rzekł zcicha — słysząc jednak panią w ten sposób mówiącą, możnaby nieledwie przypuścić, że żywisz w sercu dla Wilka coś więcej, niż proste uczucie wdzięczności za uratowanie ci życia?...

Zerwała się z fotelu i wyprężyła się jak struna, oglądając się po pokoju wzrokiem błędnym.

(Ciąg dalszy nastąpi)

CO ŻYCIE NIESIE.

UWAGI.

— Patrz, jaki wspaniały ten posąg Mickiewicza! — zawołał kilka dni temu jeden z moich znajomych, gdy o godzinie 10 wieczorem, teatr opuściwszy, zszedłem się z nim u wylotu ulicy Siennej.

Noc nie była jak maź; na niebie, rozjaśnionem nieco przez sierp księżyca, rysowały się kontury pomnika.

W rzeczy samej Mickiewicz o tej godzinie wyglądał imponująco!

Wśród ciemności zginęły szczegóły, a utrzymała się tylko całość, w zarysie architektonicznym, i ta, przyznaję to chętnie, jest śliczna. Nawet w dzień całość sprawia z daleka wrażenie niezwykłe, a gdybyśmy pomnik mogli odsunąć jak najdalej, choćby na szczyt „Baranów“, natenczas nie mielibyśmy do podniesienia przeciw niemu żadnego zarzutu.

Ale gdy z bliska patrzysz, jakże potwornie przedstawiają ci się niektóre szczegóły!

Najpiękniejszą jest jeszcze figura frontowa, lecz już ta, po prawej ręce, wyobrażająca „Poezję“, ma w twarzy nierównie więcej sentymentalizmu, niż istotnego zachwytu, jej prawe ramię zgubiło to, co się „jabłkiem“ nazywa, noga zaś grubą derą nakryta, nie ma w udzie zaokrąglenia. Widocznie artyście służył za model nie żywy człowiek, lecz kawał drewna.

A i ten ślepiec po dr giej stronie, mający, jak powiadają, wyobrażać „Naukę“, bo coś opowiada chłopakowi — w jaki on sposób posiadł prawą rękę? Z jego korpusn ona przecie nie wyrosła, lecz ktoś mu ją przyczepił.

A ten z tyłu „Patrjotyzm“, o głowie pięknie modelowanej, za to z szyją nadmiernie długą, z ramieniem w pałąk wygiętem, z wąską klatką piersiową, z brzuchem zapadniętym i z lewą nogą nienaturalnie ułożoną, czyż to nie skończony typ patrjotyzmu Golicji i Głodomerji?

Nawet orzeł ma nogi i pazury apokaliptyczne, chociaż sam kształtami zwykłego orła wcale nie przerasta.

Smutno mi!

Mówiłem już kilkakrotnie i jeszcze raz powtarzam: W pomniku tu i owdzie są widoczne błyski rzetelnego, nawet niepospolitego talentu, całość atoli sprawia wrażenie rzeczy dobrze pomyślanej, lecz tylko szkicowanej. Na wykonczenie artysta widocznie nie miał czasu. Albo też przedmiot, który mu oddano, był za mały dla jego genjuszu...

Powiadają, że komitet rozeszle rozmaitym znawcom i miłośnikom Sztuki zdjęcia fotograficzne dzieła p. Rygiera, ze stron rozmaitych, aby oni o niem sąd wydali. Śmiejcie się państwo z tego pomysłu! Na fotografji rzecz tak wychodzi, jak się chce, żeby wyszła i nie ma tak brzydkiej kobiety, którejby fotografja nie umiała zrobić piękną. Spytajcie o to p. Miena, on przyznaże mam rację.

Mówią także, że komitet zamierza zaprosić do Krakowa prof. Zembuscha i Guilloma, by ci o Mickiewiczu sąd wydali. Ależ moi panowie, ja wiem naprzód coby oni powiedzieli. Przez grzeczność dla Komitetu i aby go z kłopotu wybawić, orzekliby: *einfach aber schoen*, a śmialiby się z nas dopiero wtedy, gdyby się poza Krakowem znaleźli.

Ktoś mi wczoraj powiedział, że Mickiewicz dlatego wygląda po siekierze, ponieważ w rzeźbie, taka dziś moda panuje. Mój panie w rzeźbie, tak samo, jak w każdej innej gałęzi Sztuki panuje przedewszystkiem piękno, modą zaś zasłania się tylko niedołęstwo. Od trzech tysięcy lat patrzymy na posągi i żaden z nich nie był dotąd tak modny, jak Mickiewicz p. Teodora Rygiera...

Czemu oni go odsłonili?

Widocznie chcą nas do jego [widoku przyzwyczaić...

Wszak i pies przez nawyknienie przyzwyczaja się do łańcucha i budy, a choć dawniej miał fantazje i lubił wylegiwać się na pańskich dywanach, w końcu tak do budy przywykł, że w niej mu najlepiej...

Chcesz szanowny Komitecie wybrnąć z kłopotu i nie pić piwa, którem nas częstujesz? Ja ci dam dobrą radę.

Zaproś Wojciecha Gorsona z Warszawy, prof. Marconiego ze Lwowa i hr. Karola Lanckorońskiego z Wiednia, niech ci przyjadą i orzeką, co robić z tym fantem, który na Rynku stoi. Ale jeden przytem warunek. Niech członkowie Komitetu zwiążą się słowem, że aż do wydania wyroku przez owych trzech znawców, wcale z nimi nie będą się znosili, a przedewszystkiem, że nie będzie starał się wpływać na nich ów wielki krytyk i profesor, który od samego początku zapewnia, że dzisiejszego Mickiewicza „będzie nam Europa zazdrościła“.

I cóż, zgoda?

A teraz zostawiam miejsce innym, niech mówią:

* * *

GŁOSY LUDU
u stóp pomnika Mickiewicza.

Już przy rozbieraniu owej szopy, w której biedny „Król polskich poetów“ wiele miesięcy przesiedział, a którą goście węgierscy wzięli podobno za sam pomnik i ocenili, że jest *„einfach aber schön;“* lud tłoczył się ciekawie dokoła. Zewsząd, jak kule w bitwie leciały w prawo i w lewo najrozmaitsze zdania i — do dnia dzisiejszego lecą a (jak na nieszczęście) — w pomnik mierzą. Z ciekawością nadstawialiśmy ucha i udało się nam zebrać wiązankę tych sądów, które z uszanowaniem zapisujemy, jako plebiscyt ludowy o pomniku, oraz świeżo wyłowione „perły humoru polskiego“.

Mieszczka (przeciskając się przez tłum widzów obok figury „Poezji“): — Ee, ktoby się na takie rzeczy patrzoł! To przecie grzech. Czy to nie lepiej patrzeć na twarz Pańską, na wizerunek Boży?

Dwaj księża przypatrują się „Poezji“. Pierwszy z nich: — Koronę ma na głowie? Światłość, promienie czy wieniec cierniowy? Drugi: — Zdaje się, że istotnie ciernie; ależ kiedy po niej nic nie znać, żeby ją to bolało.

Trzech rzemieślników z cygarami. — Pierwszy: — O gwałtu! To ten Mickiewicz to jakiś ludożerca czy co? Drugi: — A juści ludożerca, bo już widać kogoś połknął taki wygląda pękaty. Ale, rychtyg! co to za kobieta, co mu u nóg siedzi? Pierwszy (z poważnym tonem znawcy): — To Marja Teresa... Drugi: — To żona Mickiewicza. Trzeci: — Która, która to jego żona? Poprzedzający: — No, ta, co mu u nóg siedzi z tablicą. Bo on ma koronę i ona ma koronę; tylo on ma większą koronę a ona ma mniejszą. A zaś w około to cała jego familja siedzi. Dwaj inni: — A haaa!

Chłopcy (przechodząc): — O jej! Co jemu też to wróbli na głowie siedzi!

Jedna z gromadki przechodzących pań: — Po co oni mu tyle rogów na głowie porobili?

Dwóch ekspresów (idąc od strony hotelu Drezdeńskiego): — Czy to człowiek, czy kobieta? Na to drugi: — A juści że kobieta. Czy nie widzicie, że poważna...

Dwóch innych przed posągiem: Jeden z nich: — Stoi jak djabeł jaki umórdzany. Drugi: — A cóżbyś robił, gdyby ciebie tak postawili? Pierwszy: — A co? gdyby mię umyli i ogolili, tobym stoł, jako i on. Drugi: — Ee, tośbyś śwarnie wyglądoł!

Nagle, jak bomba, wpada w tłum jakiś jegomość, brunet z pieprzykiem na twarzy i obchodząc pomnik na wszystkie strony, woła: — Indjanin! Indjanin! Czy nie widzicie, że to Indjanin Czerwonoskóry?.. Ha, ha! Indjanina postawili na rynku... Było co stawiać! Indjanin do Ameryki! Ha, ha, ha!

Kupka robotników oglądając orła u stóp posągu. Jeden: — Co to za ptak? Drugi: — E, to nie ptok, tylo smok. Pierwszy: — Ale: ptok, ino afrykański.

Druga gromadka wyrobników. Jeden W tym posągu 80 tysięcy siedzi. Drugi: — Tyle pieniędzy na niego wyłożyli, no i cóż mu z tego? Czy dadzą mu za to jeść? Trzeci: — Już on sobie dobrze podjod. Tylko popatrzeć się na niego, jaki ma brzuch!.. Inny: — A co tyz to za okrutne płoszczysko! Pierwszy: A bo to tak, płosc od wiatru.

Dwóch jegomościów zbliża się od strony „Poezji“. Jeden: — Po co oni mu tyle papieru w prawą rękę uakładli? Drugi: — Zaraz Ci wytłómaczę. Czy nie widzisz, jak się lewą ręką za brzuch trzyma?!...

Rzemieślnik ze żoną. Ona: — Co to za ptak? On: — To orzeł. Ona: — A pocóż on tę wiązkę jakąś trzyma?“ On: — A bo sobie tak gałązki na gniazdo zbiera. Ona: — Aha...a z drugiej strony, to jego pióro leży. (Palma).

Tragarze chodzą z boku na bok i patrzą to na posąg to na figury. Jeden z nich: — No, ten haf na górze, to Mićkiewicz; to już wiem. Ale co te baby w kolusienko znacą, to nie mogę wykalkulować. Drugi: — Widzicie — on się „miljon“ nazywo. Powiado som: „Nazywam się miljon“... Pierwszy: — On miljon kostuje?. Drugi: — A cemu to wsyćko takie corne?“ Pierwszy: — Bo to tako ruda.

Grupa osób czyta napisy wyryte pod gzymsem trzonu: Jajo i czyzna... Gwałtu! A cóż to ma znaczyć: Jajo i czyzna jedno jesteśmy!?.. I cierpię katusze... Ach, że cierpi to widać po nim...

Trzech elegantów przechodzi z papierosami. Jeden: — Ależ bo poco oni mu ten płaszcz tak potwornie spuścili na dół, że mu się aż wlecze!... Drugi (obzierając się na pomnik): — Bo mu widocznie pantalony spadają.

Grupa wojskowych przed „Patrjotyzmem“. Jeden: — *Diese Gestalten riugsherum ziemlich gut.* Drugi: — *Dem ist aber kalt! o — kalt!*

Grono „inteligencji“: — Co ten stary znaczy, co tak wykłada? — „To dzieje“. — „To oświata“. — Ale po cóż taki biedny, nagi, koślawy i niedołężny? Czy to taka naga oświata? I do tego ślepa? — A jaka to noga u tego starego! Jak u niedźwiedzia w krakowskim ogrodzie...

Za ich plecami odzywa się jakiś robotnik, wskazując chłopię, któremu starzec wykłada: — Ten chłopcysko ma skózane spodnie.

Jegomość: — Nawet i ten stary ziewa.

Gromada osób przed „Patrjotyzmem“. Jeden: — Co ten chudeusz z mieczem tu robi? Druga: — Strzeże, by kto Mićkiewicza nie ukradł i nie wyrzucił. Trzecia: — Co, co? poco tu siedzi? Czwarta: — Chowa się, bo się wstydzi, że w negliżu. Jakaś kobieta: — O-o-o! ani nawet butów temu nie dali. A takie wsyćko corne jak boboki.

Dwóch panów przechodzi obok ku Sukiennicom. Brunet przyglądając się „Patrjotyzmowi“: — Dali mu strzały a nie dali mu łuku... A skąd się u tego obdartusa wziął szyszak średniowieczny z przyłbicą? Jak się to zgadza z jego negliżem?... Blondyn: — A po coby się miało zgadzać? Brunet: — Ale to biedaczysko chudy! Oj, biedny, biedny! Blondyn (szepcąc koledze do ucha): — Bo to ma oznaczać biedę polską.

Cztery osoby (przed „Poezją“). Ksiądz (ruszając ramionami): — Poezja ładna, ale ten Mićkiewicz — co za nędzota! Mieszczanin: — To tak jak karpiel jaki. Ksiądz: — Zdaje się, że Rygier miał zamiar przedstawić go jako „króla“ poetów i dlatego tak mu ten wieniec laurowy urządził, by się wydawał koroną. Mieszczanin: — Karpiel i karpiel. — Ksiądz: — Tak samo i z płaszczem. Mieszczanin: — Karpiel i nic więcej... Ksiądz: — Chęć była dobra, ale się nie udała. Mieszczanin (machając ręką): — Karpiel, ale nie posąg!.

Dwóch mieszczan. Jeden: — Jak się Panu zdaje? Drugi: — Mnie się nic nie zdaje. Pierwszy: — No — ale co Pan sądzi o tym Mickiewiczu? Drugi: — Ja nic nie sądzę. To są inne głowy do tego, by sądziły. Pierwszy: — Ale przecież — czy się panu podoba? Drugi: — To przecież nikomu się nie podoba. Pierwszy: — A juści prawda. Szkoda pieniędzy na taką ladacą robotę.

Dwaj chłopi (obchodząc pomnik dokoła): — Jaki to ślifowany kamień! Musioł tys to kostować, musioł!

* * *

Być może, że niejeden, czytając niedawno moje uwagi o „Lysistracie“ i widząc, że się oburzam na autora za pokazanie polskiej publiczności tej ohydy, myślał, iż kieruje miną niechęć osobistą, nie zaś chęć służenia temu, co jest prawdziwe i dobre. Ludzie dopatrują się wszędzie prywaty! Otóż, jeźli byli tacy, natenczas ku żywemu zadowoleniu będę ich mógł dziś z błędu wyprowadzić, a uczynię to, powołując się na słowa takiej powagi, jakim jest bezsprzecznie ks. M. Morawski z T. J., profesor i uczony, który w ostatnim zeszycie *Przeglądu powszechnego* arcydziełu krakowskiego Arystofanesa, także wiązankę uwag poświęca. Przykro mi, że dla braku miejsca, nie mogę powtórzyć całego artykułu czcigodnego autora, ale już i z tego, co przytoczę, czytelnik będzie mógł osądzić, ażali zda-

nie moje odbiegło w czemkolwiek od zdania tak znakomitego pisarza, którego samo nazwisko starczy za dowód.

Oto, co pisze ks. M. Morawski:

„Nie jest dobrze rozmazywać skandale — ale prostować fałsze, które sumienie publiczne wypaczają, jest obywatelskim, a osobliwie redaktorskim obowiązkiem; i wszystkie inne względy, rzeczowe czy osobiste, temu obowiązkowi ustąpić powinny.

Dlatego, choć z bólem serca piszemy o „Lysistracie".

Grecy starożytni mieli pojęcia moralne wolniejsze od naszych, a jednak komika swego, Arystofanesa, uważali za nazbyt wyuzdanego. Między wszystkimi zaś utworami Arystofanesa, „Lysistrata" uchodziła zawsze za najbezwstydniejszą. — Nawet historycy literatury greckiej w dziełach naukowych wymawiają się od zdania sprawy z jej treści; a ci, którzy o niej wspominają, piętnują zwykle jej niemoralność ostatniemi słowy. Jeżeli więc w ogóle coś z Arystofanesa miało się na nowożytnej scenie pojawić, to wszystkiego innego można się było spodziewać, niż tej brzydoty. — Tymczasem ta właśnie sztuka doczekała się w rozpasanej dzisiaj Francji tłómacza, który ją do paryskiej sceny przystosował... a wnet potem — na Boga! czy i Polska miałaby w tej mierze być do Francji podobną? — polskiego znalazła tłomacza, który ją dla naszej publiczności w narodowym relikwiarzu naszym, Krakowie występował. To się niestety stało!...

Po pierwszem zaraz przedstawieniu, oburzenie było powszechne. Z trzech miejscowych gazet, dwie bardzo surowo potępiły tę komedję, trzecia w pierwszej chwili wyraziła się z pewną nieśmiałością, w której czuć było, że boi się zganić, a nie chce pochwalić. Ale krytyki gazet były niczem w porównaniu z oburzeniem, które wyrażało społeczeństwo wszelkich warstw i odcieni. Słyszeliśmy wytrawnego krytyka sztuki, określającego swój sąd w jednem słowie: „Jest to obrzydliwość". Słyszeliśmy zdanie poważnych osób: że na takie przedstawienie chyba tylko baletniczki patrzeć mogą. Słyszeliśmy matki-Polki z dalekich dzielnic, gorzko się żalące: Przywozimy do Krakowa synów na czas karnawału, ażeby odetchnęli zdrowem, polskiem powietrzem po miazmach, jakie wziewają w Rosji; przywozimy córki, ażeby się przypatrzyły polskiej sztuce, kształciły serca — a oto na co nas narażacie! —Najmniej pod względem *decorum* wymagający mężczyźni mówili, że przynajmniej żon i córek na tę sztukę nie prowadziliby.

Nadomiar w *Neue Freie Presse* z 7 lutego pojawił się artykuł o „Lysistracie" te same powtarzający zdania i pewnie krewniak tamtych artykułów. Dodano w nim tylko małe przysmaki wedle gustu *Neue Freie:* i tak, powiedziane tam jest, że przeciwko tej sztuce wystąpili w Krakowie Jezuici, „którzy w tym kraju na daleko niższym stoją umysłowym poziomie, niż gdziekolwiekindziej" (*sic*).

To posługiwanie się gazetą, jak *Neue Freie*, w tem, co się uważa za interes partji konserwatywnej, jest do zapamiętania. — Lecz ostatecznie mało nas *Neue Freie* obchodzi; co nas obchodzi, co nas boli, to, że w naszych konserwatywnych pismach pojawiły się artykuły, zaprzeczające niemoralności „Lysistraty" i stłumiające słuszne wzburzenie sumienia publicznego. Wobec takich głosów, które są (może tylko jednym głosem, ale publiczność o tem nie wie), poczciwi ludzie muszą sobie zadawać pytanie: czyśmy się nie pomylili, oburzając się na to przedstawienie? Może nie jesteśmy dosyć artystycznie wykształceni, aby o tem sądzić? Czyśmy się nie dali przypadkiem bezwiednie uwieść demagogom? Tem bardziej takie wątpliwości mogą mieć ci, którzy nie mieli szczęścia być na „Lysistracie", a z żadnej gazety nie mogą się dowiedzieć o jej treści. — Otóż to właśnie naginanie, wypaczanie sumienia publicznego niby w interesie partji, a właściwie w interesie jednostki, zmusiło nas do wzięcia za pióro w tej wstrętnej sprawie, i to zmusza nas do zaprotestowania: Nie! to oburzenie przeciwko „Lysistracie" nie było sztucznem, nie było partyjnem, ale było najszczerszym głosem społeczeństwa. Czy który ze sprawozdawców partji przeciwnej nie śmiał się w kułak na myśl, że politycznego przeciwnika schłoszcze — tego nie wiem, to bardzo być może; ale to nie zmienia faktu, że potępiające artykuły gazet spotkały się tym razem z werdyktem zmysłu moralnego publiczności.

Jakże można było nawet przypuścić, że społeczeństwo nasze polskie nie oburzy się na rzecz tak moralnie szkaradną, że nawet starożytność uważała ją za taką?

Mówią nam jeszcze obrońcy, że komedja ta nie jest właściwie niemoralna, tylko bezwstydna. Naprzód to jest nieprawdą: Nie tylko żony Ateńczyków wchodzą tu w grę, ale też inne istoty, które na próżno tłómacz przezwał Beotkami, skoro zostawił im rolę heter i do ich domu prowadzi publiczność w trzecim akcie. Ale choćby i tak było, żeby ta sztuką była tylko bezwstydną, jednak wystawienie takiego bezwstydu na widok publiczny jest czynem niemoralnym i demoralizującym.

Żadnej nie ma wymówki. Zrobiło się bardzo źle, wystawiając na scenie „Lysistratę", bo się sprawiło zgorszenie. Tylko skokainowanie zmysłu moralnego może tak wielki błąd wytłómaczyć. Zrobiło się jeszcze dużo gorzej, broniąc tego obłędu w prasie konserwatywnej, bo to jest nietylko zgorszeniem, ale wykrzywieniem sumień. Najgorzej, a przynajmniej najniemądrzejby się zrobiło, gdyby się ten błąd jednego przyjęło jawnie czy milcząco, na konto partji konserwatywnej (która istotnie nic wspólnego z tem nie ma). Tego jednego wobec opinji kraju jużby się nie zasłoniło, jakkolwiekby się z nim i z jego „Lysistratą" solidaryzowano, a ściągnęłoby się na partję, ba, nawet na jej zasady (choć one przecież „Lysistraty" nie zrodziły!) głębokie dusz odwrócenie". *Ks. M. Morawski.*

Czy to wystarczy?

Książka St. Koźmiana o r. 1863.

24 (Ciąg dalszy).

P. Koźmian cytuje *La Patrie*, organ półurzędowy, że zwrócił 18 lutego uwagę na aresztowanie kilku Polaków jadących z Francji przez władze pruskie (telegram *Czasu*). Ma to być dowód zmiany frontu ze strony tego dziennika po 16 lutego, a przecież *Czas* zaznacza już dnia 2 lutego, że *Patrie* pisze goręcej o Polsce. „Nawet *Monitor* umieszcza z Warszawy obszerne i przychylniejsze o powstaniu wiadomości", woła po 16 lut. w tryumfie p. Koźmian, a przecież już na parę dni przedtem (14 lutego) donosił korespondent, że *Monitor* wyraża się sprawiedliwiej i również sprawiedliwiej wyrażają się inne dzienniki urzędowe; wyrażają się, a nie wyraziły się, zatem nie naraz jednego dnia, lecz przez dni choćby parę przed 14 lutego. „Wreszcie przemówił 21 lutego *Constitutionnel*, najbardziej uprawniony organ urzędowy" cieszy się p. Koźmian, a tymczasem organ ten już w dniu 5 lutego bronił się w artykule wstępnym od zarzutów niechęci ku Polsce. A zatem nie niebawem, to znaczy w kilka dni po 16 lutego, jak twierdzi p. Koźmian, półurzędowe dzienniki francuskie zaczęły przyjaźniej poruszać sprawę polską, ale na kilka dni przed owym historycznym 16 lutego.

Lecz nietylko w dziennikach znajdowano już przed 16 lutego oznaki sympatji dla sprawy polskiej.

Pomijam słowa, które padły za Polską 4 lutego w szwedzkiej Radzie państwa, mniejsza o listy pisane przez Garibaldiego z Kaprery do Anglji i emigracji polskiej, mniejsza zresztą o meetingi zwoływane w Genui i Neapolu, pomińmy i gorącą mowę Henessy'ego w parlamencie angielskim (9 lutego), oraz mowy wygłoszone w Izbie włoskiej przez Petruccelego, Crispiego i Brafferia, a trzymajmy się tylko samej Francji. Saint Marc Girardin mając w Sorbonie 6 lutego wykład o przywiązaniu matek do dzieci opisywał okropne położenie matek Polek i barbarzyńskie postępowanie moskali — w audytorjum powstał taki zapał, że przez kilka minut mury Surbony trzęsły się od okrzyków: *Vive la Pologne! A bas les despotes!* W tejże samej Sorbonie w czasie wykładu oświadczył się z gorącemi sympatjami dla Polski ks. Perreyre. Sławny kaznodzieja ks. Gratry gorąco przemawiał za Polską na swych słynnych konferencjach. Również w początkach lutego objawiły się uczucia młodzieży paryskiej przez demonstracje uliczne 1500 studentów na cześć Polski.

Ale oprócz tych prywatnych objawów sympatji ze strony jednostek i młodzieży, były i ważniejsze, a dla p. Koźmiana więcej ważne, niż dla kogo innego, bo przez *Czas* notowane. Już dnia 6 lutego paryski korespondent *Czasu* zaznaczał że „są nawet dowody więcej niż słowne dające rękojmie skrytych (naturalnie przychylnych dla nas) uczuć Napoleona". Tenże korespondent w dniu 12 lutego donosił, że „temperatura sfer oficjalnych zaczyna się podnosić", a minister Billaut „żałuje" cierpkich słów wypowiedzianych 5 lutego. W korespondencji wreszcie paryskiej z dnia 14 lutego czytamy: „Zdaje się iż cesarz stara się Polskę ocalić, wracając się do trylogu z r. 1855". Z Wiednia pisano 16 lutego do *Dziennika Poznańskiego* że Rechberg konferuje wciąż z posłami angielskim i francuskim, aby zapobiedz rozlewowi krwi i udać się do cara Aleksandra, z żądaniem szanowania traktatów. Przestaję na tej wiązance faktów, bo stwierdzają one chyba dostatecznie, że oznaki przychylności dla naszej sprawy i zajęcia się nią pojawiły się wcześniej niż 16 lutego i że p. Koźmian mógł się o nich prędzej dowiedzieć nawet z *Czasu*, niż z wniosków wyciągniętych z treści telegramów Hotelu Lambert[1]).

Przyjrzyjmy się teraz instrukcjom nadesłanym przez Hotel Lambert w ślad za telegramem z 16 lutego. Naprzód jednak zaznaczmy, że jak zawsze nie dowiadujemy się dla kogo były te instrukcje, pod czyim wysłano je adresem. Powstanie trwało w Królestwie, tam był rząd narodowy, zowiący się Komitetem centralnym, a instrukcje te przychodziły do kogoś w Krakowie, tak, jakby Kraków decydował o powstaniu. I nie wiadomo nawet kto je otrzymywał. Hotel Lambert o niczem niby nie myślał, jak o krakowskich zachowawcach. Gdyby tak było w istocie, to byłoby dziwne, bardzo dziwne, a tem dziwniejsze, że jeżeli już Hotelowi Lambert tak bardzo o Kraków chodziło, to przypuszczać by należało, że przesyłałby swoje instrukcje dajmy na to Adamowi Potockiemu, Henrykowi Wodzickiemu, Popielowi lub tp., a nie jakimś „nam" niekreślonym. Komitet żaden jeszcze nie istniał — kto to byli więc my?[2]) W parze z tem zadziwieniem idzie drugie. Instrukcję: „nie mieszajcie się, nie popierajcie powstania" — wiózł osobny kurjer, choć była niewinną i przejęcie jej przez rząd austryacki nikogo by nie kompromitowało, a instrukcję daleko ważniejszą, stanowczą, mogącą kompromitować, oddano na łaskę poczty, boć o żadnym kurjerze p. Koźmian nie wspomina.

Po tej uwadze zbadajmy treść instrukcyj. Wysłane były one naturalnie jednocześnie z telegramem, a więc 16 lutego. Mówiły, że poszła nota do Berlina, a nota była wysłaną dopiero 17 lutego, skąd więc mogły pisać o niej jako o fakcie spełnionym. Ojciec p. Koźmiana donosił o tej nocie dopiero w dniu 21 lutego, a był przecież jak mówi p. Koźmian w najbliższych stosunkach z ministrem Walewskim, a więc jeżeli wiedział o nocie Hotel Lambert to powinien był wiedzieć i A. E. Koźmian. Co więcej i dwaj inni korespondenci *Czasu* piszą o nocie dopiero 21 lutego, albo więc *Czas* miał złych koreopondentów, nie mających stosunków nawet z Hotelem Lambert, albo też Hotel Lambert nie pisał w swojej instrukcji, iż działanie dyplomatyczne już się rozpoczęło. Dziwna rzecz, iż p. Koźmian instrukcji tej nie wydrukował, bo wszak to dokument w sprawie, o której mowa, pierwszorzędny, a przekonamy się dalej, że p. Koźmian drukuje w całości bardzo

[1]) Do tych objawów zajęcia się sprawą polską możnaby zaliczyć i ową rozmowę cesarzowej Eugenji z Metternichem, która jeżeli miała miejsce, to odbyła się 11 lutego, oraz naradę Metternicha z Napoleonem (12 lutego). Jeżeli tych objawów nie włączyłem, to jedynie z tej przyczyny, że nie mam wiary w całą anegdotyczną cześć Rzeczy p. Koźmiana, a dlaczego jej nie mam, tego chyba czytelnikom tłomaczyć szeroko nie potrzebuję. Anegdotki w ogóle są podejrzane i nikt na nich serjo opierać się nie może, a cóż dopiero jeżeli występują w książce, w której nawet fakta i daty na każdym krokn ulegają zakwestjonowaniu.

[2]) W tomie II-gim Rzeczy znajduję pewne pod tym względem wyjaśnienie. Oto przy Hotelu Lambert otworzono biuro, którego zadaniem było zbierać wiadomości tyczące się stanu rzeczy pod trzema zaborami. Biuro to miało swoich korespodentów, a byli nimi w Galicji Jan i Stanisław Tarnowscy, oraz Ludwik Wodzicki, którym pomagał autor Rzeczy. Przyznam, się że nie dobrze mi świadczą o powadze tego biura nazwiska jego informatorów galicyjskich, żaden z nich bowiem wówczas nie był jeszcze człowiekiem wyrobionym, a wszyscy mieli styczność ze szczupłem tylko gronem arystokracji i półarystokracji. To też Boże zmiłuj się jak ci korespondenci wypełniali swoje obowiązki. W chwili najważniejszej, kiedy powstanie czuć już było w powietrzu, kiedy dokonywano w Warszawie branki, kiedy wrzenie umysłów dochodziło do szczytu, kiedy wreszcie powstanie już wybuchło i walczyło, Jan Tarnowski siedział sobie w Dzikowie, Ludwik Wodzicki w Tyczynie, a p. Stanisław Koźmian w Dobrzechowie — jeżeli mogli o czem informować, to chyba o tem, poczemu płacą owies, czy mróz nie zniszczył

drugorzędne, a nawet całkiem obojętne a co gorsza oddawna znane dokumenta[3]).

Kazimierz Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dwaj przyjaciele.

Nowella.

Było to podczas oblężenia Paryża; w mieście panował głód ogromny: wróbli coraz mniej było na dachach a szczurów w rynnach. Jedzono co się tylko dało.

Pewnego stycznowego poranku, pan Moussot, zegarmistrz z powołania, przechadzał się smutny po bulwarze zewnętrznym, z rękoma w kieszeniach kurtki mundurowej, gdy w tem zatrzymał się przed dobrze znajomą twarzą. Spotkał pana Sauvage, przyjaciela z nad brzegów rzeki.

Co niedziela przed wojną, Moussot opuszczał o świcie mieszkanie, z bambusową laską w ręku i pudełkiem blaszanem na plecach. Brał bilet kolei żelaznej d'Argenteuil, wysiadał w Colombes, poczem piechotą dostawał się na wyspę Marantę. Tu zasiadał z wędkę nad wodą i łowił ryby do wieczora.

Co niedziela spotykał tam małego, pulchnego człowieczka, pana Sauvage, kramarza z ulicy Panny Marji Loretańskiej, również zapalonego rybołowcę. I spędzali czasem cały dzień obok siebie z wędką w ręce i ze zwieszonemi nad wodą nogami. Zaprzyjaźnili się wreszcie.

Rozmawiali dosyć rzadko, ale rozumieli się wybornie, bo mieli upodobania jednakie i jednakowych wrażeń zażywali.

Na wiosnę, około dziesiątej rano, gdy odmłodzone słońce złociło wodę i dogrzewało w plecy zacietrzewionym rybołowcom, Moussot odzywał się czasem do pana Sauvage: „A co? to panie rzetelna rozkosz?“ pan Sauvage zaś odpowiadał: „Nie może być nic przyjemniejszego“. I wystarczało im zupełnie, ażeby się nawzajem rozumieli i szanowali.

Jesienią, pod koniec dnia, gdy niebo zakrwawione zachodnią łuną, zamieniało rzekę w purpurową wstęgę i czerwieniło postacie obu przyjaciół, pan Sauvage patrząc na Moussot'a, mówił: „Co za widok — hm?“ Moussot zaś odpowiadał zachwycony: „To przecie lepsze niż bulwary, mój panie kochany!“

Poznawszy się teraz, ścisnęli sobie energicznie ręce, wzruszeni, że spotykają się w okolicznościach tak smutnych.

Pan Sauvage westchnął i szepnął: „Co się dzieje, co się dzieje?“ na co Moussot bardzo ponury jęknął: „Co za czas!... psi czas! To pierwszy dzień dopiero w tym roku“. Rzeczywiście niebo było błękitne i słoneczne.

Poszli razem zadumani i smutni. Moussot pierwszy przerwał milczenie.

— A co tam nasze ryby? Boże drogi! cóż to za dobre były czasy!

— Czy się kiedy jeszcze powrócą? — zagadnął Sauvage.

Weszli do kawiarni, wypili po kieliszku absyntu, poczem powlekli się dalej trotuarem. Moussot przystanął nagle:

— A gdybyśmy połknęli tak sobie po drugim kieliszeczku — hę?

— Zgoda! — odpowiedział Sauvage.

I weszli do handlu win. Wyszli ztamtąd porządnie odurzeni, jak ludzie na czczo z żołądkiem pełnym alkoholu. Lekki wietrzyk pieścił im rozognione oblicza. Pan Sauvage, któremu ciepłe powietrze do reszty zawróciło w głowie, zatrzymał się znowu po chwili:

— A gdybyśmy tak poszli?

— Gdzie?

— No, na ryby.

— Ale gdzie?

— No gdzie?... Na naszą wyspę. Przednie straże francuskie są w Colombes. Znam pułkownika Deimonta przepuszczą nas z łatwością.

---

z br... śniegu zasiewów, czy sanna jest dobra i co tam słychać u sąsiadów. Czwarty z nich wreszcie p. Stanisław Tarnowski, uważał tę chwilę za tak spokojną, że nie mając o czem z kraju donosić, pojechał sobie do Neapolu, by pod łagodnem włoskiem niebem upajać się pięknemi widokami i sztuką starożytną.

[3]) Nietylko tym razem, ale nigdy nie podaje p. Koźmian ani w całości ani choćby w wyjątkach instrukcyj Hotelu Lambert. Wobec ciągłego cytowania korespondencyj *Czasu* i podawania *in extenso* różnych dokumentów, wolno mi przypuścić, a nawet jestem o tem przekonany, że p. Koźmian całkiem instrukcyj Hotelu Lambert nie posiada. Treść ich podaje z pamięci, a jeszcze prędzej z fantazji bo to daleko wygodniej. (*Przyp. autora).*

Moussot'owi oczy zapłonęły.

— Ba! — rzekł — poszedłbym z panem.

I poszli, każdy do swego mieszkania po potrzebne przybory.

W godzinę potem znaleźli się obaj na wielkim gościńcu, zmierzając ku willi pułkownika. Ten ostatni uśmiechnął się i przystał na prośbę. Wkrótce przebyli przednie straże, minęli opustoszałe Colombes i znaleźli się nad brzegiem pól, zarosłych winogradem a ciągnących się ku Sekwanie.

Było około jedenastej. Naprzeciwko wioska Argenteuil wyglądała jak obumarła. Szczyty Orgemont i Sanvis wznosiły się nad okolicą. Wielka płaszczyzna rozciągająca się aż do Manterie była zupełnie pustą, na szarej ziemi sterczały nagie drzewa.

Pan Sauvage wskazując palcem szczyty, szepnął:

— Prusacy są tam na górze.

I jakiś niepokój ogarnął obu przyjaciół wobec tego pustkowia.

„Prusacy!...“ nie widzieli ich nigdy, ale czuli ich oddawna dokoła Paryża, burzących Francję, łupiących, podpalających, niewidzialnych i wszechmocnych. Jakiś rodzaj przesądnej obawy łączył się w nich z nienawiścią dla tych nieznanych zwycięzców.

— Gdybyśmy ich tak spotkali? — wybełkotał Moussot.

— Poczęstowalibyśmy szelmów smarzonemi rybkami! — odpowiedział pan Sauvage z czysto paryską junakierją.

Wahali się jednak zapuścić w głąb, onieśmieleni panującą dokoła ciszą. Wreszcie pan Sauvage wziął na odwagę.

— No... marsz... w drogę — rzekł — tylko ostrożnie.

I podążyli polami, kurcząc się we dwoje, kryjąc za krzakami z wytężonym wzrokiem i słuchem. Musieli jednak przebyć przestrzeń zupełnie pustą, żeby się dostać nad brzeg rzeki. Przebiegli ją pędem i wsunęli się pomiędzy suche trzciny. Moussot przyłożył ucho do ziemi i nadsłuchiwał pilnie. Nie rozróżnił jednak najlżejszego szelestu. Byli sami, zupełnie sami. Uspokoili się więc powoli.

Naprzeciwko nich opuszczona wyspa Marante zasłaniała ich z drugiego brzegu. Drzwi restauracyjki były zamknięte, jak gdyby od wieków nikt tam nie przebywał. Pan Sauvage pierwszy złapał kiełbia, wnet po nim Moussot; co chwila podnosili wędki, na końcu których trzepotały się srebrzyste rybki. Połów był prawdziwie cudowny. Kładli zdobycz do dużej siatkowej torby u stóp ich moknącej. Przejmowała ich radość niewymowna, ta radość, która ogarnia całego człowieka, gdy może zakosztować dawno niedoznawanej, a ulubionej przyjemności.

Słońce po dawnemu dogrzewało im w plecy; nie słuchali już niczego, nie myśleli już o niczem, cały świat znikuął dla nich; istniały tylko wędki i ryby.

Nagle głuchy odgłos, jakby z pod ziemi pochodzący wstrząsnął jej łonem. Armaty grać zaczynały. Moussot podniósł głowę i zobaczył po drugiej stronie rzeki na lewo szczyt Walerjański, i nad nim unoszący się, niby kitka nad hełmem, dym biały. Wkrótce nastąpił drugi wystrzał, potem trzeci, czwarty, piąty... góra zdawała się drżeć i sapać, wyrzucała raz po raz z siebie, jakby oddech z konających piersi sinawe pary, które wznosiły się zwolna ku pogodnemu niebu i tworzyły nad nią jakby chmurę.

Pan Sauvage wzruszył ramionami.

— Masz tobie; zaczynają znowu!

Moussot, śledzący bacznie każde poruszenie haczyka, uczuł nagle, że go ogarnia gniew człowieka spokojnego przeciw zapaleńcom, więc huknął:

— Trzeba być osłami, żeby się tak mordować.

— Gorzej, niż zwierzęta! — poparł pan Sauvage.

A Moussot, który właśnie złapał płotkę, zawołał:

— I to się nigdy nie skończy, dopóki rządy istnieć będą.

Pan Sauvage go powstrzymał:

— Rzeczpospolita nie byłaby wydała wojny! — zauważył.

— Et! — przerwał Moussot, — tak to wojna zewnątrz, tak wewnątrz; jeden i ten sam djabeł.

I zaczęli rozprawiać spokojnie, roztrząsać wielkie zagadnienia polityczne ze zdrowym rozsądkiem ludzi łagodnych i ograniczonych.

A tymczasem szczyt Walerjański, grzmiał ciągle; burząc domy francuskie, druzgocąc życia, kładąc kres wielu marzeniom, wielu spodziewanym radościom i wielu nadziejom, otwierając w sercach żon, w sercach córek, w sercach matek rany, nie mające się nigdy zabliźnić.

— Toż to życie! — zauważył pan Sauvage.

— Powiedz pan raczej, że to śmierć — rzekł, śmiejąc się Moussot.

Ale w tem zadrżeli przerażeni, usłyszawszy za sobą stąpania. Odwrócili się i spostrzegli czterech ludzi brodatych i uzbrojonych, ubranych, jak służący w liberji i w płaskich kaszkietach, którzy mierzyli do nich ze swoich strzelb.

Wędki wypadły im z rąk i popłynęły z biegiem wody. W mgnieniu oka pochwycono ich, związano, rzucono w łódkę i przewieziono na wyspę. Wtedy za domem, który im się wydał opustoszałym, spostrzegli ze dwudziestu żołnierzy niemieckich. Jakiś olbrzym obrosły, siedzący na krześle, jak na koniu, palił porcelanową fajkę i zapytał ich doskonałą francuzczyzną;

— No cóż panowie, jakże wam się połów udał?...

Wtedy żołnierz złożył u stóp oficera torbę, pełną rybek, której zabrać nie omieszkał.

Prusak uśmiechnął się.

— No, no, nie źle!... Ale nie o to idzie. Słuchajcie mnie i zważcie dobrze, co wam powiem: Dla mnie jesteście dwoma szpiegami, przysłanymi, żeby nas śledzić. Schwytałem was i każę rozstrzelać. Udawaliście, że łowicie ryby, żeby lepiej ukryć wasze zamiary. Dostaliście się w moje ręce: tem gorzej dla was; bo to wojna. Ale ponieważ wyszliście przed przednie straże, musicie wiedzieć hasło, ażeby módz powrócić. Dajcie mi je, a puszczam was wolno.

Obaj przyjaciele stali przy sobie, drżący, zsiniali i milczeli.

Oficer ponowił:

— Nikt o tem wiedzieć nie będzie; wrócicie spokojnie. Tajemnica zniknie z wami. Jeżeli odmówicie, czeka was śmierć i to natychmiast. Wybierajcie!

Oni stali nieruchomi, nie otwierając ust. Prusak, wciąż spokojny, wyciągnął rękę ku rzece,

— Pomyślcie, że za pięć minut będziecie na dnie tej wody. Za pięć minut!... Musicie mieć rodziny?...

Szczyt Walerjański grzmiał ciągle. Obaj rybołówcy stali w milczeniu.

Prusak dał rozkaz po niemiecku, poczem przestawił krzesło, żeby nie być zbyt blisko więźniów i dwunastu ludzi stanęło o dwadzieścia kroków od nich z bronią w ręku.

— Daję wam jeszcze minutę; ani sekundy więcej.

Poczem wstał raptem, zbliżył się do Moussota, odciągnął go na bok i rzekł po cichu:

— Prędko, to hasło! Towarzysz twój nic wiedzieć nie będzie; udam, żem zmiękł.

Moussot nic nie odpowiedział.

Prusak pociągnął wtedy pana Sauvage i zadał mu to samo pytanie

I znowu milczenie było jedyną odpowiedzią.

Oficer zaczął dyrygować. Żołnierze podnieśli broń.

Wtedy spojrzenie Moussota padło przypadkiem na torbę, pełną kiełbi, leżącą na trawie.

Rzucające się w niej rybki błyszczały w słońcu. Wtedy ogarnęło go wzruszenie i pomimowoli, oczy jego napełniły się łzami.

— Żegnaj! panie Sauvage! — wybełkotał.

— Żegnaj! panie Moussot! — odpowiedział tamten.

Ścisnęli się za ręce, drżąc od stóp do głów.

Oficer zawołał:

— Ognia!...

Dwanaście wystrzałów ozwało się jednocześnie.

Pan Sauvage padł od razu twarzą na ziemię. Moussot, wyższy, zachwiał się, zakręcił w kółko i upadł na swego towarzysza, z twarzą ku niebu, podczas, gdy krew strumieniem buchała mu z piersi.

Niemiec wydał nowe rozkazy.

Ludzie rozeszli się, poczem wrócili, niosąc sznury i kamienie, przywiązali je do nóg zabitych i zanieśli nad brzeg.

Szczyt Walerjański ani na chwilę grzmieć nie przestawał.

Dwaj żołnierze wzięli Moussota za głowę i za nogi, dwaj drudzy pochwycili pana Sauvage w ten sam sposób.

Ciała silnie rozkołysane, zakreśliły łuk nad wodą i znikły w falach.

Woda zadrżała, rozprysnęła się na wszystkie strony, poczem wszystko się uspokoiło.

Trochę krwi zostało na powierzchni.

Oficer, wciąż wypogodzony, szepnął:

— Teraz kolej na ryby!...

Poczem wrócił ku domowi. I nagle spostrzegł torbę, pełną kiełbi, leżącą na trawie. Podniósł ją, przypatrzył się, uśmiechnął się i zawołał:

— Wilhelm!...

Nadbiegł żołnierz w białym fartuchu.

A prusak, rzucajac mu połów obu rozstrzelanych, zawołał:

— Usmaż mi te rybki, dopóki jeszcze żywe. Będą doskonałe!.,.

I zaczął znowu palić fajkę.

Skąd się biorą pesymiści?

przez

3 **W. Lutosławskiego.**

(Ciąg dalszy).

Skoncentrowanie wysiłków w obrębie szczupłego koła, naprzód praca nad sobą samym, potem nad najbliższą nam rodziną i przyjaciołmi, nie będzie wcale egoizmem, jak wielu mogłoby sądzić, gdyż i owszem, dążenie do doskonałości na każdym kroku potyka się o egoistyczne skłonności, o lenistwo, zmysłowość, próżność i t. d. Walka z temi wrogami wewnętrznemi cięższa jest i zaszczytniejsza, niż ambitna chęć działania ciągle na przekonania innych, nim jeszcze ustaliliśmy własne. Tymczasem część naszej młodzieży łudzi się mniemaniem, jakoby postęp społeczny mógł zależeć od pewnych tez, czyli przyjętych przekonań. Nawet choćby te były najsłuszniejszemi, to przyjęcie ich formalne, bez odnośnego postępu moralnego, jeszcze pożądanego skutku nie przyniesie. N. p. niewątpliwie bardzo słusznem było przekonanie od lat stu u nas rozpowszechnione, że poddaństwo jest ciężką niesprawiedliwością, krzywdą wyrządzaną większości pracowników. Gdyby przekonanie to przedostało się do głębi sumienia tych, co korzystali z niesprawiedliwego przywileju, gdyby oni dobrze pojęli wynikający stąd obowiązek i zdecydowali się na wypełnienie go, zniesienie poddaństwa nastąpiłoby w sposób dla obu stron zadawalniający: ci, coby wyrzekali się dobrowolnie niesłusznego przywileju, mieliby zadowolenie, jakie daje spełnienie obowiązku, ci zaś, coby wyzwoleni zostali, mogliby zachować poważanie i przywiązanie do swych dawnych panów. Naturalnie, podobnie pokojowa przemiana byłaby możliwą tylko w społeczeństwie nierównie doskonalszem, niż nasze. U nas całkiem inaczej się to odbyło, tak. że wywołało trwałe przyczyny niezgód wewnętrznych, wzajemnej nienawiści, prowadzącej do zachowania w rzeczywistości właśnie tych stosunków niesłusznej zależności, które formalnie zniesiono. Otóż takie formalne hasła, których urzeczywistnienie w niczemby istoty rzeczy nie zmieniło, pospolicie najwięcej mają dla młodzieży uroku. Na pozór prowadzą one do zmniejszenia ucisku słabszych przez silniejszych, ale jak dalece dążenie to jest powierzchownem, okazuje się, gdy rzecznicy reform sami dochodzą do jakiejkolwiek władzy. Wtedy zapominają oni bardzo rychło o swych młodzieńczych uniesieniach i zapałach, stając się posłusznymi wykonawcami tego, co potępiali poprzednio sami. Pochodzi to stąd, że w czasie studjów uniwersyteckich za mało dbali o własne umysłowe i moralne doskonalenie się, i zupełnie powierzchownie przejmowali się niezrozumianemi hasłami, nie zdając sobie wcale sprawy z tego, jakiego rodzaju udział osobisty każdego jest potrzebny, aby te hasła urzeczywistnić istotnie, nie zaś formalnie tylko.

Na tej drodze nieuchronnie będąc narażeni na przykre zawody, wychowańcy wyższych zakładów naukowych jeszcze więcej skłaniają się do pesymizmu, niż ci, co kończą tylko średnie szkoły. Widzimy rezultat nadzwyczaj dziwny i przeciwny najwięcej usprawiedliwionym oczekiwaniom: pesymizm wzrasta proporcjonalnie do stopnia wykształcenia, jeśli mamy uważać tych za więcej wykształconych, co dłużej przebywali w szkołach. Gdybyśmy podobny rezultat spotykali wszędzie, trzebaby w nim widzieć poważny argument na korzyść pesymizmu powszechnego. Jeśliby najwykształceńsi byli zawsze największymi pesymistami, to ogół mniej wykształconych miałby wszelkie powody uznania pesymizmu za pogląd słuszny, za usposobienie właściwe. Ale na szczęście gdzieindziej tak nie jest — w Niemczech, w Anglji, w Ameryce młodzież uniwersytecka najmniej cierpi na pesymizm, jest świadomą swoich sił, i przygotowuje się do pracy produkcyjnej nietylko materjalnie, ale i moralnie. Widziałem w Cambridge na placu publicznym w niedzielę studenta improwizującego przemowę do otaczających go robotników: nie uczył on ich, że świat jest zły, nikczemny, i podły, że życie nic nie warte. I owszem, zachęcał i drogę wskazywał do życia, mającego największą wartość, mianowicie do życia zgodnego z naszem sumieniem, świadomego naszych obowiązków. Takie widowisko wcale nie jest rzadkiem ani wyjątkowem w krajach, gdzie mowa angielska panuje. Tam wykształceńsi istotnie przodują mniej wykształconym, i częściej prowadzą ich do postanowień wewnętrznych, niż do czynów na zewnątrz.

Dlaczegóż u nas jest odwrotnie? Skąd się bierze ta skłonność do pesymizmu tych, co na pozór są najwykształceńsi?

(Ciąg dalszy nastąpi w numerze niedzielnym).

TEATR.

Nie pamiętam, czy kiedy, gdym miał pisać o teatrze, brałem z takiem jak dziś zadowoleniem pióro do ręki. Na scenie krakowskiej ujrzeliśmy ubiegłej środy pierwszy raz „Hanusię“ (Haneles Himmelfahrt) Gerharda Hauptmanna, a ujrzeliśmy ją w formie tak wytwornej i skończonej, że daleko pozostawiła za sobą wystawę „Madame Sans Gêne“ i niefortunnej „Lysistraty“.

Utwór Hauptmanna nie jest dziełem scenicznem w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, ale uscenizowanym poematem, którego motywy są proste.

Hanusia Mattern, trzynastoletnia dzieweczka, nie ma matki, za to ma ojczyma, pijaka, łotra, który znęca się nad nią. Biedne dziecko boi się tego człowieka, mimo to spełnia niewolniczo jego rozkazy, lecz gdy nareszcie czara goryczy przez wierzch się przelała a ją siły opuściły, pobiegła w zimie do stawu i chcąc kres położyć swej męce, wskoczyła w toń przerębli. Nie zginęła jednak, gdyż znalazł się zacny człowiek, wiejski nauczyciel, Gottwald, który ją wyratował.

Biedne dziecko zaniesiono do domu przytułku, gdzie pełno żebraków-złoczyńców, i tam je na łóżku położono. Przychodzi lekarz, zjawia się zakonnica, ratują nieszczęśliwą, jak mogą. Ale Hanusia żyć nie będzie. Gorączka wzmaga się, zimne dreszcze ją porywają, biedna zapada w malignę przedśmiertną.

I wtedy widzi najpierw swego ojczyma-tyrana, który groźbą zmusza ją do posług najcięższych, a pięścią z domu po żebrach wypędza; potem matkę nieboszczkę, która ją pociesza i mówi, że ją weźmie do siebie — później ukazuje się anioł śmierci, który dotyka się jej zimnym mieczem, zjawiają się aniołowie skrzydlaci, stroją ją w suknię jedwabną, a nóżki ubierają w trzewiczki kryształowe, układają do trumny szklannej, wewnątrz oświetlonej, potem nauczyciel Gottwald, w Chrystusa zmieniony, budzi ją jak ongi dziewicę z Jerycho, i ona, ta biedna Hanusia, otoczona anielskim orszakiem, szczęśliwa i promieniejąca w niebo wstępuje.

Tu kończy się sen, zasłona zapada, gdy zaś po chwili znów się podnosi, lekarz, zbliżywszy się w domu przytułku do chorej Hanusi, stwierdza, że biedaczka już nie żyje...

Powiadają, że Hartmann, jako pisarz socyalistyczny, chciał w tym utworze wykazać, że dla biednych na tym świecie nie ma ani szczęścia, ani spokoju, więc największem dla nich dobrodziejstwem — śmierć. Być może, że pragnął on taką tezę przeprowadzić, ale ponieważ w utworze wyszło zupełnie co innego, przeto nie pytam, co chciał, lecz co dał.

Dał nam zaś to, co socjaliści przeważnie odrzucają, mianowicie wiarę w sprawiedliwość po śmierci, wiarę w życie pozagrobowe, wiarę w Boga. Jeżeli się zważy, że socjaliści, których wykarmiła filozofja materjalistyczna, nazywają naukę o nieśmiertelności duszy „wekslem na świecie wystawionym, którego po śmierci nikt nie chce eskontować“, natenczas prześliczna, acz smutna, boć śmierć wesołą być nie może, wizja Hanusi, jest tak głośnym protestem przeciw materjalizmowi socjalistów, że już za to samo poeta zasługuje na uznanie, a nowy ten jego utwór ma dla nas doniosłość prawie pedagogiczną. Wierzcie mi, nikt, na to biedne dziecko patrząc nie powie: „Zaiste, nie warto żyć na świecie, lepiej skończyć samobójstwem!“ przeciwnie każdy radośnie zawoła: „O! jak to pięknie, jak to dobrze, że z życiem cielesnem wszystko się nie kończy, że po cierpieniach doczesnych następuje nagroda, że ponad nędzą ziemi jest niebo szczęśliwe!“.

Prócz samej Hanusi, której rolę grała panna Trapszówna i Gottwalda, którego odtworzył p. Śliwicki, wszystkie inne role, acz osób w sztuce jest moc wielka, są małe, tak dalece, że bardzo wielu artystów ledwie po kilkanaście słów mówi. A mimo to każda z tych postaci wystąpiła niezmiernie żywo i wyraziście, bo każdy grał po mistrzowsku, w całości zaś, dzięki reżyserji p. Pawlikowskiego, osiągnięto to, czegośmy się nigdy nie spodziewali, mianowicie skończone arcydzieło. — Z naciskiem zaznaczam, że przedstawienie „Hanusi“ było arcydziełem scenicznem i słowa tego nie cofnę. Czy można sobie wyobrazić doskonalszego żebraka-łotrzyka niż ten, którego nam dał p. Siemaszko? Czyż pani Wojnowska nie była skończonym typem żebraczki-gospodyni, umiejącej wyciągać ostatnie grosze z sakiewki żebraka-męża, czy też żebraka-przyjaciela? A p. Ryger, w gwałtownej roli pijaka-ojczyma, czy nie zasłużył na najwyższe pochwały? P. Kamiński, jako lekarz, mówi ledwie kilka słów, mimo to cznje się, że to lekarz prawdziwy. Co do panny Trapszówny, ta wielką swoją rolę grała z takiem zrozumieniem i przejęciem, że dała nam zupełne złudzenie osoby chorej i umierającej: pan Śliwicki czuł i cierpiał w pierwszej połowie sztuki jak dobry człowiek — w drugiej zaś połowie mówił z namaszczeniem jak istota wyższa, siła duchowa, nie cielesna; p. Solski z roli krócintkiej zrobił skończone arcydzieło; panie Senowska, Wolska, Siemaszkowa, Wójcicka, Zooiński, Szobert, słowem wszyscy grali ku powszechnemu zadowoleniu.

Na scenie była odtworzona rzeczywistość. Jedynym dyssonansem w całości był głos pewnego anioła, wprawdzie pięknego, ale mającego zbyt niski organ altowy.

Co do strony zewnętrznej, to dyrekja dała nam coś takiego, czego, szczerze to wyznajemy, nigdyśmy się nie spodziewali. Duchy, aniołowie, światło, cienie, wszystko było doskonałe. Nie jestem szczodry w pochwałach, dziś jednak muszę pogratulować p. Pawlikowskiemu, gdyż, jak afisz twierdzi, on sam zajmował się wprowadzeniem „Hanusi“ na scenę.

Ból, cierpienie, śmierć, to rzeczy niewesołe. Widz przezornie ich też unika, bo on woli zabawę i śmiech pusty. Ale mimo to „Hanusia“ dla podniosłej idei, która w niej tkwi, dla znakomitej gry artystów i świetnej scenerji może liczyć na trwałe powodzenie. I tem goręcej ten utwór muszę pochwalić, że jest on głośnym protestem tak dobrze w świecie duchowym, jak i artystycznym, bo gdy z jednej strony wykazuje, że jest drugie życie i jest Bóg, tak również z naciskiem mówi pisarzom: „Sztuka musi raz już zerwać z niewolniczem naśladowaniem natury, gdyż jej celem nie jest odtwarzanie prawdy realnej, lecz dążenie do ideału!“ Hauptmann nie osiągnął jeszcze tego celu, ale już o niego potrąca.

Szkoda tylko, że to rzecz tak smutna! *Verax.*

KRONIKA

Kraków dnia 3 marca.

Kalendarz kościelny. Dziś św. Tycjana biskupa i św. Kunegundy cesarzowej, jutro św. Kazimierza królewicza polskiego wyznawcy, pojutrze św. Euzebiego.

Dziś w kościele Marjackim kazenie o godzinie 10-tej wypowie ks. Thury jubilat, sumę następnie odprawi ks. kan. Wojciechowski.

Temperatura rano stopni — 2 C.

Kupujcie tylko u chrześcijan!

Pamiętajmy o gimnazjum polskiem w Cieszynie!

Szanownych naszych Czytelników prosimy, aby zechcieli uwiadomić swoich znajomych, że nowo przystępujący abonenci otrzymają ***całkiem bezpłatnie półtora tomu powieści: „Jan Wilk“.***

Na gimnazjum polskie w Cieszynie przysłał ks. Marcin Nikodem ze Zręciny zebrane w towarzystwie 2 złr. Wręczone p. Kwiecińskiewu 4 złr. na ten sam cel, złożył tenże w naszej Administracji.

Dla wieśniaka w Węgrzynowicach złożył p. J. K. z Krakowa 1 złr. 50 cnt. Składki na ten cel z dniem dzisiejszym zamykamy.

Pani namiestnikowa hr. Badeniowa, odjechała z córką do Lwowa.

Nabożeństwo żałobne. Wczoraj o godzinie 9 rano w katedrze na Wawelu, odbyło się nabożeństwo żałobne za spokój duszy śp. kardynała Al-

bina Dunajewskiego. Wotywę żałobną w asystencji licznego kleru, wobec rodziny zmarłego, kapituły i licznego duchowieństwa, celebrował Książę-biskup Puzyna. Podczas nabożeństwa chór alumnów seminarjum duchownego wykonał mszę requialną unisono z towarzyszeniem organów, a zaś p. Gienczykiewicz odśpiewał Moniuszki pieśń: „Panie co władasz losami“.

Przypominamy, że dziś w sali Rady miejskiej o godz. 3-ej po południu odbędzie się Walne zgromadzenie członków Tow. „Harmonja“.

Zywcem zakopany. Wczoraj, tuż za rogatką Warszawską, przy kopaniu strudni, robotnik Piotr Siadka, lat około 40 liczący, wskutek wadliwego podparcia, a w części także z winy sypkiego piasku, który się usunął, został całkiem zasypany. Ratunek przedsięwzięty celem odkopania nieszczęśliwego, okazał się nadzwyczaj utrudniony, właśnie z powodu sypkości owego piasku. Akcje ratunkową prowadziła straż pożarna pod kierunkiem p. Eminowicza, oraz kilkunastu pionierów pod komendą kapitana Artura Wansela von Arlon. Do godziny 8 wieczorem jeszcze nieszczęśliwego nie wydobyto z pod ziemi. Bez wytchnienia pracowano całą noc i dopiero o godzinie wpół do 6-tej rano, wydobył Siadkę p. Jan Piwowarczyk, majster studniarski, z głębokości 5 metrów.

Niestety, choć Siadka dawał jeszcze słabe znaki życia, ocalenie go było niemożliwe. Umarł. O godzinie 8 wieczorem zdołano go jeszcze posilić nieco winem, ale wtedy samo wydobycie groziło zasypaniem ratujących. Przy akcji ratunkowaj byli obecni: fizyk powiatowy, komisarz policji p. Balicki i dr Bobkiewicz lekarz.

Losowanie II kadencji Ławy przysięgłych odbyło się wczoraj o godz. 7 po południu, w prezydjum Sądu krajowego karnego, pod przewodnictwem radcy dworu, p. Adolfa Summer-Brasona, wobec delegatów: radców Sądu krajowego, pp. Giebułtowskiego i Krzepeli, naczelnego prokuratora, p. Wł. Munnicha i adwokata krajowego, dra R. Ławrowskiego.

Przysięgli rzeczywiści: Owsiak Józef, Laroschek Herman, Cywański Władysław, Bondi Karol, Rzeźniczek Jakób, John Alfred, dr Szatlarski Jan, Pilecki Edward, Kałuski Stefan, Gadowski Jan, Malik Wincenty, Raczyński August, Rothwein Leon, Lubański Franciszek, Gross de Rosenberg Feliks, Żeglikowski Teofil, Talowski Teodor, Babirecki Jan, dr Molicki Antoni, Woźny Edward, Wiszniewski Konstanty, Drozdowski Szymon, Walentynowicz Paweł, Seifert Aleksander, Majer Jan, März Wilhelm, Adamski Wacław, Schneider Jan, dr Buzdygan Mikołaj, dr Miodoński, Szklarski Andrzej, Reiner Bernard, Siegler de Eberswald Juljusz, Wieczorkowski Leon, Piotrowski Antoni, Śliwiński Kasper.

Przysięgli zastępcy: Szymczykiewicz Sebastjan, Langrock Maurycy, Zasadzki Józef, Westreich Efroim, Dużyk Józef, Grzybczyk Karol, Frommer Leon. Dydas Wincenty, Birnbaum Joachim.

Komisarz targowy skonfiskował pewną ilość margaryny w sklepie M. Grabowskiego przy ulicy św. Jana, którą sprzedawano, jako masło tyrolskie. Tamże zabrano także trzy zające, sprzedawane w czasie ochronnym. Smutne to, że katolicy wstąpują w ślady zydów. Tak to zły przykład najlepszych psuje.

Policja skonfiskowała w piątek u handlarki zwierzyną, Miaskowskiej, na Półwsiu Zwierzynieckiem, trudniącej się także garkuchnią, kilkanaście kuropatw. Miaskowska nabyła je w tymże dniu od jakiegoś włościanina powiatu krakowskiego. Po skonfiskowaniu przekonano się, ku najwyższemu oburzeniu, że kuropatwy zwabiono pszenicą, a zostały nietylko złowione w sieci, w czasie ochronnym, lecz nadto miały nóżki wyłamane. Dyrekcja policji zarządziła z tego powodu surowe dochodzenie, a może przy pomocy żandarmerji, a nadewszystko zwierzchności gmin, powiedzie się wykryć szkodliwych kłusowników.

Siedmiu parobków od lat 22 do 27 z powiatów: przemyślańskiego, kolbuszowskiego i gorlickiego, zatrzymano w piątek na stacji kolei w Krakowie, w drodze do Ameryki.

Repertoar teatralny. Dziś, w niedzielę 3 b. m. „Hanusia“ (Hanneles Himmelsfarht), senne marzenie w 2 oddziałach Gerharta Hauptmana z niemieckiego, w przekładzie Marji Konopnickiej, po raz czwarty i „Dramat jednej nocy“, obraz dramatyczny w 1 akcie Aurelego Urbańskiego. — W poniedziałek 4 b. m. teatr zamknięty. — We wtorek 5 b. m. „Hanusia“, po raz piąty i „Dramat jednej nocy“. — W środę 6 b. m. „Hanusia“, po raz szósty i „Dramat jednej nocy“. — W czwartek 7 b. m. „Otello“, tragedja w 5 aktach W. Szekspira. — W piątek 8 b. m. koncert Tow. Muzycznego. — W sobotę 9 b. m. „Nauczycielka“, komedja w 4 aktach hr. Koziebrodzkiego (nowość), występ p. Antoniny Hoffmann. — W niedzielę 10 b. m. „Nauczycielka“, po raz drugi. — W poniedziałek 11 b. m. koncert prof. Domaniewskiego.

Jesteśmy proszeni zwrócić uwagę administracji teatru miejskiego na służbę, która swojem zachowaniem się hałaśliwem, odrywa uwagę publiczności podczas przedstawień. Kto nie umie być cicho, ten niech wyjdzie na dwór i zażywa świeżego powietrza.

Gorszący fakt stał się w mieście naszem w piątek pod wieczór, przy ul. Sławkowskiej. Oto czeladnik szewski, nazwiskiem Dudek, poważył się zdjąć z głowy Chrystusa na krzyżu przy kościele św. Marka cierniową koronę. Dudka przyaresztowano i odprowadzono do dyrekcji policji, gdzie wezwany lekarz orzekł, co zresztą samo jego nazwisko wskazuje, że Dudek nie jest przy zdrowych zmysłach. Jako takiego, odesłano go tymczasem do aresztów miejskich.

Józef Hofman koncertował wczoraj w Berlinie, w akademji śpiewackiej (Sing-Akademie). Prócz tego weźmie młody artysta udział w koncercie filharmonijnym, pod kierunkiem Ryszarda Straussa, w którym zastąpi chorego M. Rosenthala. Hofman odegra koncert C mol St. Saënsa.

Konkurs dramatyczny Wydziału krajowego miał być wczoraj rozstrzygnięty.

Zatwierdzenie wyboru. Cesarz zatwierdził wybór adwokata krajowego, dra Władysława Bogdaniego, na prezesa, i notarjusza Bronisława Sądeckiego, na zastępcę prezesa Rady powiatowej w Żywcu.

Kontrakty kijowskie. Zjazd na kontrakty znacznie się zwiększył. W ostatnich dniach przybyło wielu inżynierów i techników.

III Zjazd lekarzy powiatowych we Lwowie. W sali Towarzystwa lekarskiego odbył się dnia 28 z. m. Zjazd lekarzy. Wzięło w nim udział około 60 lekarzy. Zebranie zagaił protomedyk, dr. Merunowicz, wykazując potrzebę porozumiewania się lekarzy, zwłaszcza wobec z roku na rok przewlekającej się epidemji cholery i innych, poczem wezwał do uczczenia pamięci zmarłych w służbie zawodowej kolegów dra Cassiny, Wyszatyckiego, Grünhauta, Nejedły, Janiszewskiego i Wojtaszka, z których czterech umarło na tyfus, a 2 na wadę serca.

Przewodniczącym Zjazdu przez aklamację wybrano radcę, dra Merunowicza, zastępcą tegoż dr Barzyckiego, sekretarzami dra Obtułowicza i Kramarzewskiego, poczem dr Merunowicz w wyczerpującym dwugodzinnym wywodzie, przedstawił przebieg epidemji cholery w naszym kraju i podał do wiadomości zgromadzonych opinję świata lekarskiego w tej sprawie.

Drugim punktem obrad była sprawa polepszenia płac lekarzy powiatowych. Po bardzo ożywionej rozprawie, uchwalono w drodze petycyjnej przez deputacje do Rady państwa i ministrów domagać się przydzielenia trzech dziesiątych lekarzy do X klasy, trzech dziesiątych do IX, trzech dziesiątych do VIII, a jedną dziesiątą do VI klasy rangi, nadto skrócenia lat służby na 30, podwojenia dyet w czasie komisyj cholerycznych itp. Wreszcie na wniosek dra Sobolewskiego, uchwalono postarać się o wybór lekarzy u posłów do Rady państwa i do Sejmu, aby zawód lekarski miał fachowych zastępców. Po wyrażeniu drowi Merunowiczowi podziękowania, udano się na wspólny objad. Obrady trwały od godz. 10 rano do 3 po południu.

Influenza. Nieproszony gość, influenza, rozgościła się na dobre w Warszawie. Zapadło na nią bardzo wiele osób z różnych sfer ludności, a pomiędzy innemi w teatrze. Oprócz kilku artystów, influenza nawiedziła kilku członków orkiestry operowej, kilkunastu chórzystów operowych i 10 woźnych.

Kazimierz Wolski, artysta-malarz, w tych dniach zmarł w Warszawie. Malował przeważnie krajobrazy, nacechowane talentem.

Nowe stacje telegrafu. Z dniem 10 b. m. otwarte zostaną w Chołojowie (powiat kamionecki), w Podhajczykach obok Lwowa (powiat przemyślański) i w Łopuszance Chominie, pod nazwą Łopuszanka Młyny (powiat staromiejski), przy istniejących tamże urzędach pocztowych, stacje telegrafu z ograniczoną służbą dzienną.

Ks. Rychard Metternich, o którego śmierci doniósł telegraf, miał lat 66, ale już od dłuższego czasu był cierpiący, a nawet po dwakroć miał ataki apoplektyczne. Był to dyplomata gładki i zręczny, a za czasów Napoleona III należał do najgłośniejszych w Europie. Dopomagała mu jednak wiele żona, ks. Paulina, którą ówczesna cesarzowa Eugenja zaszczycała swoją przyjaźnią a nawet zaufaniem. One obie nadawały ton modzie paryskiej. Książę żył ostatniemi czasy cicho, a u dworu i w kołach arystokratycznych rzadko się pojawiał. Był wielkim miłośnikiem Sztuk pięknych, zwłaszcza muzyki i malarstwa. Obszerniejszy życiorys podamy w najbliższym numerze.

Obłąkany podpalacz. Przed kilku miesiącami odroczono we Lwowie rozprawę o zbrodnię dwukrotnego podpalenia przeciw Wojciechowi Makuchowskiemu, ponieważ podsądny, do chwili rozprawy zdrowy na umyśle, zaczął w czasie jej udawać zręcznie obłąkanego. Symulacja ta skłoniła trybunał do odstąpienia Makuchowskiego wydziałowi lekarskiemu w Krakowie dla przekonania się, o ile to „obłąkanie“ nie jest zręcznym wybiegiem przemyślnego podpalacza.

Jakoż wydział lekarski orzekł, że Makuchowski jest zupełnie poczytalny, wobec czego stanął on wczoraj ponownie przed lwowskim trybunałem sędziów przysięgłych pod bardzo ciężkiemi zarzutami. Ciekawe to indywiduum, ten Makuchowski, który był postrachem wsi Rzęsny polskiej; do pracy na roli żadnej chęci nie miał, natomiast „miał pociąg“ do grywania po karczmach i zapijania się. Chcąc w prędki i niezawodny sposób zdobyć pieniądze, zaasekurował w krak. Towarzystwie ubezpieczeń swe budynki i ziemiopłody na 500 złr., choć cała wartość ich nie przenosiła 150 złr. Właściwie Makuchowski nie krył się ze swemi zamiarami, bo na zwróconą mu przez wójta uwagę, aby dach nad chałupą naprawił, odrzekł sentencjonalnie: „Po co będę łatać, to tylko wziąć i podpalić“. Po pożarze w listopadzie 1893, przy którym widziano oskarżonego w najlepszem usposobieniu i z założonemi rękoma, wypłacono mu odszkodowanie, ale tylko w kwocie 165 złr. Taka gratyfikacja nie zadowolniła jednak Wojciecha, i w dniu 1 maja znowu miał podpalić budynek sąsiada i krewnego, pragnąc, aby w ten sposób ogień objął i jego stodołę, uczynił to zapewne dlatego, aby nie zwrócić uwagi władz, iż po raz drugi palą się jego budynki. Obciążającym go wysoce jest fakt, że właśnie nazajutrz upływał termin w asekuracji. Drugie podpalenie przyniosło lepsze rezultaty, zgorzało bowiem 71 budynków, ale i zaprowadziło Makuchowskiego przed kratki sądowe. Gdy pożar przybrał tak znaczne rozmiary — sumienie ruszyło oskarżonego, bo zawołał płacząc: „Jezus Marja, inaczej się dzieje, niż człowiek sobie myśli“. Rozprawie obecnej, która potrwa kilka dni, przewodniczy radca Heyderer, oskarża prokurator Oleński, obronę wnosi adwokat dr Schefer. Wezwano 34 świadków. Charakterystyczne jest zdanie, jakie wygłosił oskarżony do jednego ze świadków, który go zachęcał do żeniaczki. „Będę — rzekł — albo dobrym złodziejem, albo podpalaczem, będę siedział za wielkiem oknem w Brygidkach, ale żenić się nie myślę“ Stanowczy przeciwnik hymenu zdołał się już zupełnie wyleczyć z obłędu.

Galicyjskie Towarzystwo kredytowe ziemskie.

Lwów d. 1 marca.

(*XXII ogólne zgromadzenie delegatów*).

Drugie posiedzenie rozpoczęło się wczoraj o godzinie 10 rano. Przewodniczący p. Gorayski, zagajając posiedzenie, zawiadomił, iż na podstawie uchwały, powziętej na poufnem zebraniu, wybory członków dyrekcji nie będą uzupełniające (gdyż o takich w statucie nie ma mowy), ale na lat sześć.

Zastępcami dyrektorów w miejsce ś. p. Ludwika Dzianotty i pana St. Żaby, wybrani zostali pp. Jan Vivien (54 głosami) i Adam Jordan (59 głosami). Głosowało 66 delegatów.

Prezesem rady nadzorczej wybrany został August hr. Łoś 35 głosami na 68 głosujących. Reszta głosów padła na pp. Gustawa Romera i Leoncjusza Wybranowskiego.

Do komisji rewizyjnej wybrani zostali na rok 1896 pp. August Gorayski, Teofil Żurowski, Stanisław hr. Badeni, Józef hr. Męciński, Bronisław Ujejski, dr. Franciszek Paszkowski, hr. Jerzy Borkowski.

Następnie pp. Żurowski i Vivien przedstawili sprawozdanie komisji rewizyjnej o petycjach. Zgodnie z wnioskami komisji załatwiono rozmaite petycje o zapomogi, datki i t. p. Pani Oldze Halle-

rowej, wdowie po dyrektorze Tow. kredyt. ziemskiego przyznano dożywotni zasiłek 1000 złr. rocznie.

Po załatwieniu petycyj, postawił p. Wł. Gniewosz wniosek o przyznanie dyrektorowi Towarz. p. Żabie osobistego dodatku w kwocie 500 złr., a to od 1 stycznia 1895 roku, uchwalono bez dyskusji.

Następnie przewodniczący odczytał następujący wniosek, postawiony przez kilku delegatów: „Poleca się dyrekcji, aby w porozumieniu z komisją rewizyjną rozpatrzyła kwestję obniżenia jednorazowej opłaty na fundusz rezerwowy, składanej przez właścicieli ziemskich z Bukowiny i przedstawiła na najbliższem zgromadzeniu ogólnem odpowiednie wnioski.

Przeciw temu wnioskowi wystąpił p. Żurowski, gdyż byłoby to połączone z krzywdą dla Galicji. Hr. Męciński wykazywał, że fundusz rezerwowy, chociaż wynosi 2 miljony, w stosunku do funduszu pożyczkowego jest za mały. W ostatnich latach 10 fundusz pożyczkowy wzrósł o 20 miljonów, gdy natomiast fundusz rezerwowy pomnożony został tylko o 400.000 złr. Towarzystwo musi się starać koniecznie o powiększenie funduszu rezerwowego, a nie o zmniejszenie. Mowca tedy oświadcza się bardzo stanowczo przeciw temu wnioskowi.

P. Żeleński i Wł. Gniewosz podnosili, że buchhalterja i korespondencje wymagają w Tow. kredytowem koniecznych zmian na lepsze. P. Dembowski zapewniał, że o ile to będzie możliwem, zmiany te zostaną wprowadzone.

Na tem o godz. 12 min. 15, zamknął przewodniczący posiedzenie.

HUMOR.

Obronny zamek w górach stał
Wysoko, nad urwiskiem,
Okrutny wicher przez noc wył
I szalał nad zamczyskiem.
O świcie lecą setki wron
I kraczą dookoła,
O świcie rycerz z łoża wstał
I giermka swego woła:
„Hej, giermku! miecz mój zaraz weź,
Kowany z przedniej stali,
Miecz, co mi ojce w ślubów dzień
Na boje srogie dali.
Toczydło też na ganku staw
I wodą polej nieco,
I miecz mój straszny krzepko ostrz,
Aż iskry zeń polecą“.
Pracuje Paź i ostrzy miecz,
A ognie nań złowieszcze
Wciąż biją, myśli bowiem paź:
„Dziś w boje pójdę jeszcze!“
Wyostrzył giermek miecza stal,
Błyszczącą w rannem słońcu,
A tak go chłodem przestrach zdjął,
Że febry dostał w końcu.
„Hej! — woła rycerz — koniec już,
Zrobiłeś swoje godnie?
Weź miecz... gól mnie, bom golił się
Temu ze dwa tygodnie“...

OSTATNIA POCZTA.

Dzienniki wiedeńskie donoszą, że cesarstwo niemieccy mają się udać w kwietniu do Abbazji na sześciotygodniowy pobyt.

Cesarzowa austrjacka przybyła do Ajaccjo na pokładzie statku „Miramare“ na trzechdniowy pobyt.

Redaktor *Journal des Débats*, Percher, znany pod pseudonimem Harry Allis, padł onegdaj w pojedynku z oficerem marynarki. Pojedynek został wywołany polemiką dziennikarską.

Ojciec św. obchodził wczoraj 85 tą rocznicę urodzin i 18 rocznicę koronacji. Kolegjum kardynałów składało mu gremjalne życzenia. Jako dziekan św. Kolegjum przemawiał kardynał Monaco-Lavaletta. Ojciec św. odpowiedział na życzenia krótką mową.

Przy ciągnieniu losów „Basilika“ w dniu 1 marca padła główna wygrana 20.000 złr. na serję 5051 nr. 31; 1000 złr. na serję 3772 nr. 73; po 500 złr. na serję 148 nr. 12 i serja 4666 nr. 49.

Parlament Rzeszy niemieckiej uchwalił budżet zwyczajny marynarki, wszakże ze znacznemi wykreśleniami, proponowanemi przez komisję, a to pomimo żywej opozycji sekretarza stanu dla marynarki Hollmanna.

Z autentycznego źródła zapewniają, że cesarz niemiecki na otwarcie pruskiej Rady stanu wygłosi wielką (!) mowę, która wyłoży zapatrywania rządu na całe położenie gospodarcze i socjalno-polityczne Niemiec w obecnej chwili. Mowa ta rzuci nareszcie, jak spodziewają się pełne światło na zamiary rządu, którego stanowisko w ostatnich czasach stało się tak niejasnem z powodu sprzecznych widocznie zapatrywań kilku ministrów.

Redaktor paryskiego *Gil Blasa* miał interwiew z kilku politycznemi osobistościami co do udziału floty francuskiej w uroczystości otwarcia kanału północno-bałtyckiego. Dawny minister spraw zagranicznych, Develle, odpowiedział: „Muszę milczeć. Należę do tych, którzy nie powinni nic zapomnieć“. Senator Dietz rzekł: „Nienawidzę Niemców, ale jeżeli chcemy, aby oni wzięli udział w Wystawie w 1900 r., to musimy jechać do Kiel“. Senatorowie Poirier i Burrqnier są przeciwko wysłaniu floty. Ostatni dziwi się nawet, że prasa zajmuje się tak nędzną sprawą, nie mającą żadnego znaczenia dla ogółu.

Zdaje się, że rząd francuski już postanowił wysłać eskadrę na otwarcie kanału niemieckiego do Kielu.

Pytanie kto dawał miljony na poparcie Boulangera, zostało teraz rozwiązane. Wiadomo już, hrabia Paryża ofiarował 4 miljony franków, a księżna d'Uzes 3 miljony. Dziennik *Gaulois* ogłasza listy zamienione w tej sprawie między księciem Orleańskim a księżną d'Uzes, po śmierci hr Paryża. Książę Orleański oświadcza, iż dług ojca przyjmuje na siebie, ale w tej chwili nie posiada jeszcze odpowiednich środków do jego spłacenia. Księżna d'Uzes pisze, iż będzie czekała, a jeżeli król powróci na tron przodków, kwotę tę ofiaruje na biednych. Książę Orleański ma teraz zaledwie 200.000 franków dochodu rocznego.

Statek „Gaskonja“ wrócił już do Hawru. Załogę i pasażerów przyjęto z entuzjazmem.

W angielskiej Izbie gmin oświadczył sekretarz parlamentu, Grey, że rosyjska ekspedycja do Abisinii została wysłaną nie przez rząd, ale przez petersburgskie Towarzystwo słowiańskie. Na czele jej stoi znany podróżnik Leontjew. Towarzyszy mu kilku wybitniejszych oficerów i archimandryta.

Times tak charakteryzuje Łobanowa: „Jest to dyplomata umiarkowany, o poglądach pojednawczych, bardzo correct w stosunkach urzędowych, przytem jest stanowczym przeciwnikiem polityki awanturniczej i intryganckiej“. *Standard* dodaje: „Polityka Łobanowa będzie przedewszystkiem pokojową“.

Tsung-Li-Yamen uchwalił warunki pokoju, na które rząd chiński mógłby się zgodzić. Warunki te są: zwrot kosztów wojennych w sumie 300 miljonów; zapomogi dla rodzin poległych podczas wojny Japończyków 20 miljonów; uznanie niezawisłości Korei: ewentualne odstąpienie Formozy; otwarcie kilku portów chińskich. (Jak Japończycy dobrze się potargują, dadzą Chińczycy więcej).

Telegramy

własne „*Głosu Narodu*“.

Lwów d. 3 marca (rano). Wczoraj został rozstrzygnięty konkurs dramatyczny Wydziału krajowego. Pierwszą nagrodę otrzymała komedja Michała Wołowskiego pt.: „Towarzysz pancerny“, której bohaterem jest Pasek. Drugą przyznano Wacławowi Sawiczewskiemu, akademikowi z Krakowa za dramat „Na bezdrożach“. Prócz tego odznaczono dla względów scenicznych dramat Piątkowskiego, warszawianina pt.: „Nowi ludzie“ i dramat Daleckiej, warszawianki, pt.: „Las“, wreszcie dla zalet literackich wyszczególniono: dramat „Tartówna“ Bronisława Grabowskiego z Częstochowy i fantazję Jana Szarskiego z Krakowa pt.: „Uspiona“.

Wiedeń 3 marca (rano). Starszy komisarz policji w Krakowie J ü t n e r, został mianowany radcą policyjnym.

Wiedeń 3 marca (rano). Izba poselska odesłała napowrót do komisji §. 113. W poniedziałek rozpoczyna się debata nad przedłożeniami finansowemi.

Berlin 3 marca (rano). Cesarz Wilhelm wysłał do Papieża bardzo serdeczny telegram z życzeniami przy sposobności 85-tej rocznicy Jego urodzin.

Rzym 3 marca (rano). Papież przyjmując św. Kolegjum wynurzył znów nadzieję, że kościoły wschodnie złączą się i wrócą do jedności z kościołem katolickim.

Bruksela 3 marca (rano). Z powodu że parlament bardzo energicznie opiera się przyłączeniu Conga do Belgji, sprawa ta ma być cofniętą. (W takim razie Francja odkupi Congo za 40 miljonów, gdyż, jak wiadomo, układ co do tego stanął już między nią, a rządem króla Leopolda. *Przyp. red.*).

Zofja 2 marca (rano). Stoiłow ma wyjechać do Wiednia, aby osobiście załatwić sprawę akcyzową, co do której Austrja podnosi zarzuty.

Madryt 2 marca (po poł.) Powstanie na Kubie, które pierwotnie starano się przedstawić jako zwyczajne rozbójnictwo, jest bardzo groźne. Ogarnęło już prawie całą wyspę. Stąd odchodzi 8 bataljonów, a jeden z Portorico. Utrzymują, że wczorajsze doniesienie o pobiciu przez powstańców 2 000 Hiszpanów, jest prawdziwe. Hiszpanami dowodził jenerał Lachambre.

Petersburg 2 marca. Zawichrzenia studenckie omawiają tylko dwie gazety *Swiet* i *Petersb. wied.* i mówią o nich, jako o niesłychanym objawie. Policja przywykła traktować pobłażliwie wybryki w dzień święta akademickiego, ale to, co zaszło, to nie wybryki młodzieńcze, lecz masowe ekscesy, któreby można darować pijanym rzemieślnikom, lecz które wstyd przynoszą uczącej się młodzieży.

Petersburg 2 marca. *Praw. wiestn.* ogłasza o mianowaniu naczelnikami powiatów łowickiego gubernji warszawskiej hr. Lüders Weimarna, mazowieckiego w gubernji łomżyńskiej Koptiewa i kamerjunkra Swieczyna — pomocnikiem inspektora warszawskiego.

Petersburg 2 marca. Na kolei mikołajewskiej wprowadzona została bezpośrednia komunikacja między Warszawą a Petersburgiem przez Moskwę.

Nowy Jork 2 marca. Pod Tennamalta w Meksyku wykoleił się pociąg przepełniony pielgrzymami, z których 104 poniosło śmierć, a 85 jest rannych.

Przyjechali do Krakowa.

Grand Hotel. St. Klobassa z Kołyszyna. K. hr. Łubieński z Krakowca. A. Russanowski z Podola ros. F. ks. Montenuvo z Wiednia. C. Łukaszewski z Warszawy.

Hotel Saski. K. Rodakowski ze Lwowa. K. Dąbski z Kaliny. J. Moszyński z Warszawy. L. Miąsik z Rozwadowa. A. Syrojewowa z Król. Pol. St. Dunin z Głębokiej.

C. K. AUSTRYACKIE KOLEJE PAŃSTWOWE. 1684 15 ?

…YCIĄG Z ROZKŁADU JAZDY ważnego od 1 maja 1894 roku (według czasu środkowo-europejskiego).

Odjazd z Krakowa (względnie z Podgórza):

4·38 rano poc. męsz. z Krakowa przez Zwierzyniec, 4.53 rano poc. mięsz. ze Zwierzyńca, 5.00 rano poc. miesz z Pogórza-Pł., 5.06 rano poc. mięsz. z Podgórza przyst. **do Oświęcimia.** 7.07 rano poc. posp. Nr. 3 z Krakowa, 7.15 rano poc. posp. Nr. 3 z Podgórza-Płaszowa **do Podwołoczysk**; ma połączenie w Tarnowie do Stróż i Nowego Zagórza, od 25 czerwca do 15 września i do Orłowa; w Rzeszowie do Jasła i do Nowego Zagórza, w Przemyślu do Chyrowa i Nowego Zagóra. — 8.00 rano poc. osob. Nr. 15 z Krakowa, 8.10 ran. poc. osob. Nr. 15 z Podgórza-Płasz. **do Lwowa**; ma połączenie w Bierzanowie od Wieliczki, Dębicy do Rozwadowa i Nadbrzezia. — 8.25 ran. pociąg osob. Nr. 23 z Krakowa, 8.38 …n. pociąg osob. Nr. 1014 z Podgórza-Płaszowa, 8.44 ran. pociąg osob. Nr. 1014 z Pod…górza-przystanku **do Chabówki** (Zakopanego), **Rabki i Mszany dolnej** bez zmiany wagonów. Kursuje tylko od 25 czerwca do 15 września.—8.44 ran. poc. mięsz. z Krakowa (p. Zwierzyn.) …59 ran. poc. mięsz. ze Zwierzyńca, 9.04 przed połud. poc. osob. z Podgórza-Pł., 9.10 przed połud. poc. os. z Podgórza-przystanku **do Husiatyna** przez Suchę, N. Sącz, N. Zagórz; ma połączenie w Kalwarji do Wadowic i Bielska, w Suchy do Żywca i Zwardonia, w N. Sączu do Orłowa i Koszyc, w Zagórzanach do Gorlic. — 10.38 przed połud. poc. osob. Nr. 13 z Krakowa, 10.50 przed połud. poc. osob. Nr. 13 z Podgórza-Pł. **do Podwołoczysk**, ma połączenie w Tarnowie do Orłowa i Koszyc. w Rzeszowie do Jasła i Now. Zagórza, w Jarosławiu do Sokala, w Przemyślu do Chyrowa, Stryja i Stanisławowa. — 12.00 w połud. poc. mięsz. Nr. 461 z Krakowa, 12.15 popołud. poc. mięsz. Nr. 461 z Podgórza-Pł. **do Wieliczki.**— …20 popołud. poc. mięsz. z Krakowa (p. Zwierz.), 2.35 popołud. poc. mięsz. ze Zwierzynca, …46 popoł poc. mięsz. z Podgórza-Pł., 2.52 popoł. poc. mięsz. z Podgórza-przyst. **do Oświęcimia.** — **6.40 wiecz. poc. os. Nr. 17 z Krakowa, 6.55 wiecz. poc. os. Nr .1020 z Podgórza-…, 7.01 wiecz. poc. os. Nr. 1020 z Podgórza-przyst. do Żywca.** — **6.40 wiecz. poc. osob.** … 17 z Krakowa, 6.50 wiecz. poc. os. Nr. 17 z Podgórza-Pł. **do Rzeszowa**; ma połą…czenie w Podgórzu-Płaszowie do Żywca, w Bierzanowie od Wieliczki, w Tarnowie do N. …Sącza. — 7.05 wiecz. poc. mięsz. z Krakowa, 7.20 wiecz. poc. mięsz. ze Zwierzyńca, 7.25 …wiecz. poc. os. z Podgórza-Pł., 7.31 wiecz. poc. os. z Podgórza-przyst. **do Chyrowa** przez Suchę, N. Sącz, N. Zagórz; ma połączenie w Kalwaryi do Wadowic, w Zagórzanach do Gorlic, w Jaśle do Rzeszowa. — 8.10 wiecz. poc. mięsz. Nr. 463 z Krakowa, 8.23 wiecz. poc. mięsz. Nr. 463 z Podgórza-Pł. **do Wieliczki**; ma połączenie w Bierzanowie od pociągu Nr. …6 ze Lwowa.— 9.20 wiecz. poc. posp. Nr. 1 z Krakowa, 9.28 wiecz. poc. posp. Nr. 1 z Podgórza-Pł. **do Podwołoczysk i do Suczawy przez Lwów**; ma połączenie w Rzeszowie do Jasła … Zagórza. — 10.55 noc poc. os. Nr. 11 z Krakowa, 11.05 noc poc. os. Nr. 11 z Podgórza **do Podwołoczysk**; ma połączenia w Dębicy do Rozwadowa i Nadbrzezia, w Jarosła… do Rawy ruskiej, Sokala i Bełzca, w Przemyślu do Chyrowa, Stanisławowa i Stryja.
Od 1 czerwca do 30 września ma w Tarnowie połączenie do Orłowa

Przyjazd do Krakowa (względnie Podgórza):

4.48 rano, poc. osob. Nr. 12 do Podgórza-Pł., 5.00 ran. poc. os. Nr. 12 do Krakowa **z Podwołoczysk**; ma połączenia w Przemyślu od N. Zagórza, w Rzeszowie od Jasła, w Tarnowie od 1 czerwca do 30 września z Koszyc i Orłowa. — 5.38 ran. poc. os. do Podgórza-przyst., 5.44 rano poc. os. do Podgórza-Pł. 5.49 ran. poc. mięsz. do Zwierzyńca, 6.05 rano poc. mięsz. do Krakowa (p. Zwierz.) **z Buczacza** przez Chyrów, N. Zagórz, N. Sącz, Suchą: ma połącz. w Jaśle od Rzeszowa, w Zagórzanach z Gorlic. w N. Sączu w czasie od 1 czerw. do 31 wrześ. od Orłowa i Koszyc. — 6.12 ran. p. posp. Nr. 2. do Podgórza-Pł., 6.20 ran. poc. posp. Nr. 2. do Krakowa **z Podwołoczysk i z Suczawy przez Lwów,** — 7.48 ran. poc. mięsz. Nr. 462 do Podgórza-Pł., 8.05 ran. poc. mięsz. Nr. 462 do Krakowa **z Wieliczki**; ma połączenie w Bierzanowie do Lwowa, w Podgórzu-Pł., do Żywca i Nowego Sącza, a od 25 czerwca do 15 września do Chabówki (Zakopanego), Rabki i Mszany Dolnej. — 8.21 ran. poc. os. Nr. 1019 do Podgórza-przyst,. 8.27 ran. p. os. Nr. 1019 do Podgórza-Pł., 8.55 ran. p. os. 18 do Krak. **z Żywca**; ma w Kalwaryi połączenie z Wadowic. — 8.42 ran. pos. os. Nr. 18 do Podgórza-Pł., 8.55 ran. poc. od Nr. 18 do Krakowa **z Rzeszowa**; ma połączenie w Tarnowie od Now. Sacza, w Podgórzu-Płaszowie od Żywca. — 10.30 przed poł. poc. mięsz. do Podgórza-przyst. 10.36 przed poł. poc. mięsz. do Podgórza-Pł, 10.53 przed poł. poc. mięsz. do Zwierzyńca, 11.09 przed poł. poc. mięsz. do Krakowa (p. Zwierz.) **z Oświęcimia.** — 2.13 popoł. poc. os. Nr. 14 do Podgórza-Pł., 2.25 popoł. p. os. Nr. 14 do Krakowa **ze Lwowa**; ma połączenie w Przemyślu od N. Zagórza, w Jarosławiu od Sokala, w Rzeszowie od Jasła, w Dębicy od Rozwadowa i Nadbrzezia, w Tarnowie od Orłowa i Mszany dolnej. — 4.04 popoł. poc. os. do Podgórza-przyst., 4.10 popoł. poc. osob. do Podgórza-Pł., 4.17 popoł. poc. mięsz. do Zwierzyńca. 4.33 popoł. poc. mięsz. do Krakowa (p. Zwierz.) **z Husiatyna** przez Stryj. N. Zagórz, N. Sącz, Suchą; ma połączenia w Jaśle od Rzeszowa, w Zagórzanach z Gorlic, w N. Sączu z Orłowa, w Suchy od Zwardonia i Żywca, w Kalwaryi od Bielska i Wadowic. — 6.35 wiecz. poc. mięsz. Nr. 464 do Podgórza-Pł., 6.50 wiecz. poc. mięsz. Nr. 464 do Krakowa **z Wieliczki**; ma połączenie w Bierzanowie do Rzeszowa, w Podgórzu-Płaszowie do Suchy, N. Sącza, Żywca i N. Zagórza. — 7.17 wiecz. poc. os. Nr. 1013 do Podgórza-przyst., 7.23 wiecz. poc. os. Nr. 1031 do Podgórza-Pł., 7.40 wiecz. p. os. Nr. 24 do Krakowa **z Mszany Dolnej, Chabówki** (Zakopanego) **i Rabki** bez zm. wagon. tylko od 25 czerw. do 15 wrześ. — **8.07** wiecz. p. osob. Nr. 16 do Podgórza-Pł. 8.20 wiecz. poc. os. Nr. 16 do Krakowa **z Podwołoczysk**; ma połączenie w Przemyślu od Stanisławowa, Stryja i N. Zagórza, w Bierzanowie od Wieliczki.—8.53 wiecz. poc. mięsz. do Podgórza-przyst., 8.59 wiecz. poc. mięsz. do Podgórza-Pł., 9.06 wiecz. p. m. do Zwierzyńca, 9.22 wiecz. poc. m. do Krakowa (p. Zwierz.) **z Oświęcimia** ma w Skawinie połącz. od Kalwarji i Wadowic. 9.34 n. p. posp. Nr. 4 do Podgórza-Pł., 9.42 n. p. posp. Nr. 4 do Krakowa **z Podwołoczysk;** ma połącz. w Przemyślu od Stanisł. Stryja przez Chyrów, w Jarosław. od Bełzca, Sokala i Rawy Rusk. w Rzeszow. od Jasła, w Dębicy od Rozwad. i Nadbrzez., w Tarnow. od Koszyc, Orłowa i N. Zagórz.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie. Redaktor odpowiedzialny: Józef Rogosz.